NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 31 sierpnia 1907. Nr. 35.

Potęga zabobonu.

(Treść na stronie 2)



Od Redakcyi.

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk listów z podróży **„Przez włoską Rivierę do Sycylii“**, pióra dra Włodzimierza Lewickiego. Listy te, illustrowane licznemi fotografiami z natury, odznaczają się lekkością i pięknością stylu, oraz wysoce interesującą treścią, nie wątpimy też, że wśród naszych Czytelników zdobędą sobie uznanie.

Potęga zabobonu.

(Do illustracyi tytułowej).

Jak straszną, jak okropną jest potęga zabobonu i jak olbrzymią jest jeszcze dziś ciemnota wśród ludu niektórych okolic Rosyi, świadczy wstrząsający dramat, który rozegrał się tymi dniami we wsi Sysojewo, w gubernii mohylowskiej.

Oto we wsi owej mieszka od wielu lat chłop, cierpiący zdawna na chorobę umysłową. Mimo to, a może właśnie dlatego, cieszy się on we wsi swojej opinią „człowieka bożego“, obdarzonego przez Opatrzność siłą cudotwórczą. Ów tedy chłop, nazwiskiem Michał Tichonow-Kolczewskij, oznajmił ludności Sysojewa publicznie, iż miał widzenie w nocy, w czasie którego tajemne siły powiedziały mu, że wszystkie biedy i nieszczęścia, jakie spadają na kraj, są sprawką „antychrysta“ i że antychrysta tego należy koniecznie zgładzić ze świata. Mogą to uczynić mieszkańcy Sysojewa, gdyż „antychryst“ żyje wśród nich, wcielony w dwuletniego synka włościanina Grobaczewskiego.

Wśród ludności zaczęło wrzeć. Zbyt ona była ciemną, zbyt przywykła wierzyć w najrozmaitsze zabobony, by mogła ocenić całą ohydę, całą zbrodniczość i głupotę twierdzeń „bożego człowieka“. Więc też wszyscy zażądali wydania niewinnego dziecka i uśmiercenia go. Jedynie matka ofiary, choć sama równie głęboko wierzyła w prawdę słów Kolczewskiego, próbowała bronić swego dziecka. Lecz była za słabą przeciw tłumowi, tembardziej że ojciec dziecka wraz 'zgromadą innych włościan odtrącił „głupią babę“.

I już bez przeszkód rozpoczęło się mordowanie „antychrysta“. Obłąkany cudotwórca porwał dziecko, zaniósł je do chaty, w której się urodziło i tam położywszy na podłodze, począł deptać obutemi nogami. Po chwili dziecko skonało. Ale na tem nie skończyły się straszne ceremonie. Kolczewskij porwał ciężki młot i mrucząc pod nosem nieustannie jakieś wyrazy, ugodził trupa 20 razy w głowę, a następnie kazał rozerwać go na dwie części, poczem sam ujął za topór i porąbał ciałko dziecka na cztery części. Nastąpiła druga część dzikiej orgii. Porąbane części trupa kazał obłąkany Kolczewskij zawinąć w grube płótno i przywiązać do ogona końskiego. Na konia wsiadł sam prorok-cudotwórca i ruszył przez wieś ku cmentarzowi. Za nim podążył tłum zaślepionych włościan. Strasznym był ten pochód. Cienie ponurej nocy rozpraszały słabe światła kilkunastu świec, które nieśli uczestnicy okropnego pochodu. Wśród głębokiej ciszy słychać było tylko tętent kopyt końskich i dziki, do głębi wstrząsający śpiew tłumu. Na cmentarzu skończyła się ceremonia. Blady świt rozjaśniał okolicę zwolna, jakby obawiając się zwiastować światu okropności ubiegłej nocy.

Jaki będzie epilog strasznego czynu mieszkańców Sysojewa i ich proroka, nie wiadomo na razie. Władze zostały powiadomione o całem zajściu i aresztowały Kolczewskiego i ośmiu włościan, którzy pomagali przy uśmierceniu „antychrysta“.

Rycina nasza tytułowa przedstawia pochód o północy przez Sysojewo ze zwłokami dziecka.

Zjazdy monarchów.

Rok bieżący obfituje w zjazdy monarchów. Następują one po sobie w tempie szybkiem, wiążąc się w jeden długi łańcuch doniosłych wypadków politycznych i dając politykom całego świata i dyplomatom sporo tematu do rozmyślań i dyskusyi. Początek zrobili cesarze Rosyi i Niemiec swojem spotkaniem w Swinemünde; zaledwie zaś przebrzmiało echo tego doniosłego zjazdu, nastąpiła wizyta króla angielskiego Edwarda VII. u cesarza niemieckiego w Wilhelmshöhe, a bezpośrednio potem w Ischlu u cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa.



Zjazdy monarchów: Król Edward VII. na tarasie zamku w Wilhelmshöhe.

Wilhelmshöhe leży przy drodze kolejowej, prowadzącej z północnozachodnich Niemiec ku Austryi. Jest to miejscowość pełna historycznych wspomnień, sięgająca swymi początkami XII. wieku. Wznosi się tam wspaniała rezydencya monarsza, zbudowana w początkach XVIII-go wieku. Osobliwością zamku są „dziwa wodne“, otaczające go ze wszech stron. Są tam kaskady, których wstęga srebrzysta wody przelewa się po falistych tarasach, przerywanych marmurowymi basenami, gdzie wpadają z łoskotem masy wód, obryzgują pianą posągi i rzeźby i znów toczą się dalej, ginąc nareszcie opodal zamku w głębinach ziemi. Kaskady te zasilają równocześnie jeden z najpotężniejszych wodotrysków świata. Wyrzuca on słup wody na 3 metry szeroki, a 58 metrów wysoki. Widok tej istnej orgii barw, roziskrzonej w słońcu wody, wywiera imponujące wrażenie. Obecnym właścicielem tego przepięknego zamku jest cesarz niemiecki Wilhelm II.

Tam to podejmował cesarz Wilhelm swego wuja, który przez długi czas unikał starannie spotkania się z siostrzeńcem. Było do tego wiele powodów politycznej natury. Ostatecznie jednak, kiedy król Edward przeprowadził w zupełności swoje wszystkie plany, zdecydował się na odwiedziny u cesarskiej pary niemieckiej.

Przybywszy o godzinie południowej dnia 14-go sierpnia do Wilhelmshöhe, król Edward zabawił do późnego wieczora, poczem odjechał w dalszą podróż.

Następnego dnia miało miejsce spotkanie w



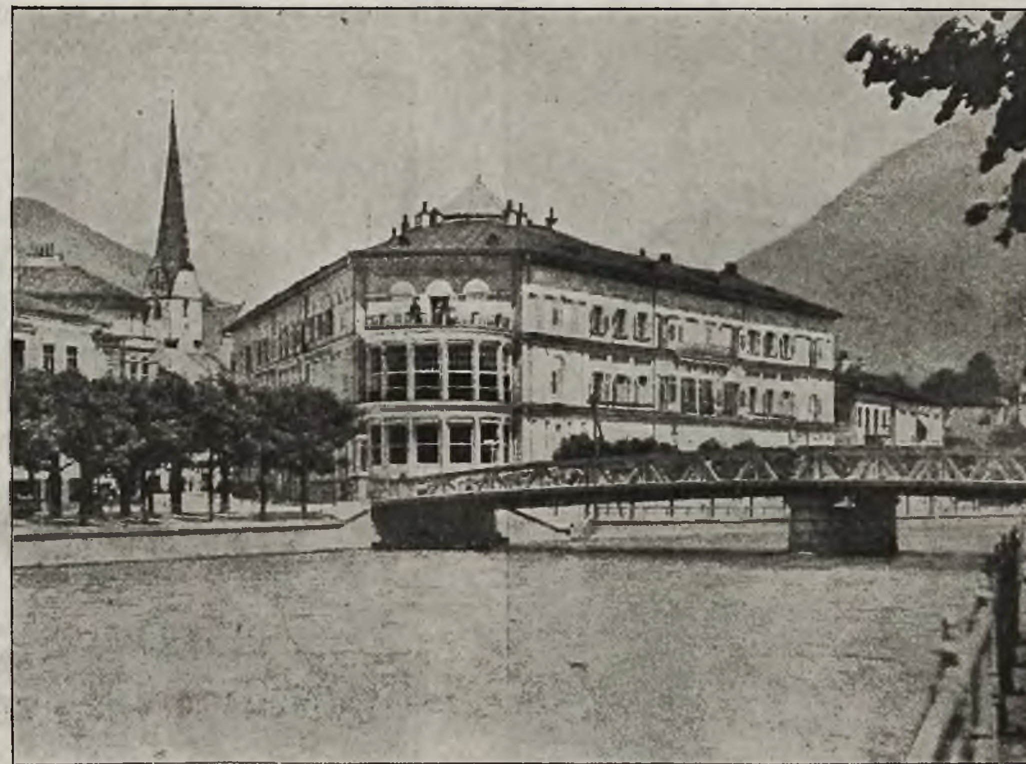
Zjazdy monarchów: Cesarz austryacki wita króla angielskiego na dworcu w Gmunden.

Ischlu. Spotkanie to nie miało charakteru politycznego, a było jedynie ogniwem w przyjaznych stosunkach, utrzymywanych przez obu sędziwych monarchów. Poruszano jednak w Ischlu i kwestye polityczne. Uczynili to mianowicie mężowie stanu, towarzyszący swym monarchom, a to angielski sekretarz stanu Hardinge i austryacki minister spraw zagranicznych bar. Aerenthal. Tematem tych rozpraw były przedewszystkiem sprawy półwyspu bałkańskiego.

Obaj ci wybitni politycy kolegowali niegdyś w Petersburgu, co ułatwiło im dyskusyę. Podczas rozmowy, w której poruszono wszystkie kwestye aktualnej polityki, stwierdzili Hardinge i Aerenthal z zadowoleniem dalsze trwanie przyjaźni między Anglią i Austryą, opierające się na dawnych tradycyach. Omawiając zaś szczegółowo kwestyę macedońską, uznali obaj mężowie stanu, iż akcya reform, wdrożona na półwyspie bałkańskim przez mocarstwa sprzymierzone, znalazła uznanie i u gabinetu angielskiego. Pod tym względem oczekiwać można trwałego poprawienia się stosunków.

Monarchowie sami spotkali się w Gmunden, skąd po serdecznem powitaniu udali się razem do Ischlu. Powitanie króla Edwarda przez ludność miejscową było bardzo owacyjne. Miasto było wspaniale udekorowane, a przez całą drogę dziewczęta rzucały kwiaty. Król angielski zamieszkał w hotelu „Cesarzowa Elżbieta“.

Wnet po przybyciu do Ischlu złożył król Edward wizytę monarsze Austro-Węgier, poczem w



Zjazdy monarchów: Hotel »cesarzowa Elżbieta« gdzie podczas pobytu w Ischlu, mieszkał król angielski.



Zjazdy monarchów: Cesarz Franciszek Józef I. żegna odjeżdżającego do Maryenbadu króla Edwarda VII.

willi cesarskiej odbyło się śniadanie familijne, w którem, prócz obu panujących, wzięli udział tylko członkowie domów panujących. Dygnitarze zaś spożyli śniadanie „marszałkowskie“ w hotelu. Po śniadaniu powrócił król Edward do swego mieszkania, dokąd około godz. 4-ej przybył cesarz Franciszek Józef. Po krótkiej rozmowie zajęli obaj monarchowie miejsca w powozie i udali się na przejażdżkę do miasta, gdzie ich ludność nadzwyczaj owacyjnie witała. Wieczorem zabawili panujący dłuższą chwilę w teatrze, następnie zaś spożyli wspólnie obiad w willi cesarskiej. Około 10-ej udał się król na spoczynek do hotelu. Miasto było wieczór illuminowane wspaniale, nadto dawano salwy moździerzowe.

Następnego dnia odjechał Edward VII. do Marienbadu.

Na dworcu zjawił się cesarz oraz arcyksiążęta. Pożegnanie było bardzo serdeczne i ciepłe. Także ludność wznosiła owacyjne okrzyki na cześć monarchy angielskiego.

Wizyty monarchów nie skończą się jednak prawdopodobnie na tem. Oto donoszą świeżo dzienniki, iż na zjeździe ministrów włoskiego i austryackiego, omawiano sprawę przybycia króla włoskiego do Wiednia, również cesarz Wilhelm II. zamyśla odwiedzić sędziwego monarchę Austro-Węgier; zjazd trzech tych panujących miałby zadokumentować trwałość trójprzymierza.

O ile wiadomości te się sprawdzą, okaże najbliższa już przyszłość.

W uzupełnieniu tego artykuliku zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg zdjęć, odnoszących się do wizyt króla Edwarda w Wilhelmshöhe i w Ischlu.

Polowania na krokodyle.

Prusacy nie mogą sobie dać rady ze swemi zamorskiemi koloniami w Afryce. W stronie południowo-zachodniej podjął nowe przeciw niemieckim rządom walki, słynny Morenga, który poprzysiągłszy dozgonną nienawiść ciemiężycielom swego plemienia, daje im się też dobrze we znaki. I w Kamerunie spokoju nie mogą się pruscy zaborcy doczekać, bo coraz to nowe szczepy buntują się przeciw wysokiej, niemieckiej „kulturze“. W prowincyi zaś wschodniej, gdzie już dzikich negrów udało się Prusakom prawie w zupełności opanować, podniosły rokosz... krokodyle.

Sympatyczne te zwierzątka, które my znamy tylko z opisów lub z menażeryi, rozmnożyły się tam jak króliki i zjadają z apetytem utuczonych kulturträgerów. Apetyty więc mają niezgorsze. Najgorzej zaś zapewne irytuje Prusaków, że pionierowie ich kultury w Afryce padają ofiarą żarłoczności nie jakichś szlachetnych odmian tego gada, nie alligatorów amerykańskich lub wspaniałych kajmanów, lecz całkiem pospolitych krokodylów — *crocodilus vulgaris* — co to ani cywilizacyi żadnej nie posiadają, ni na grzeczności się nie rozumieją. Zjawia się nagle taki potwór wstrętny, a zobaczywszy



Polowania na krokodyle: Negrzy transportujący schwytanego krokodyla.



Nagroda za piękność: Drowa Boberowa.

Nagroda za piękność.

Staraniem zarządu kąpielowego w Reichenhallu odbyła się 15 sierpnia b. r. w miejscowym kurhauzie zabawa kostyumowa, połączona z konkursem piękności dla dam.

W olbrzymiej sali balowej zaledwo zdołały się pomieścić napływające bez końca pary, które na galeryi tworzyły formalnie jedną zbitą masę, a salę balową wypełniły do tego stopnia, że w tym natłoku taniec stał się czystem niepodobieństwem.

Trzy tylko były nagrody piękności, natomiast pięknych i uroczych pań, pochodzących z różnych stron świata i ubiegających się o te nagrody, było kilkaset; wszyscy zaś na sali obecni panowie — a było ich również kilkuset — stanowili skład jury i mieli głosować kartkami na trzy panie, najpiękniejsze z pośród pięknych.

Owa niezwykle pokaźna cyfra kandydatek z jednej, a wyborców z drugiej strony, przyczyniała się w wysokim stopniu do urozmaicenia zabawy, zarazem jednak utrudniała zadanie sędziom-wyborcom, którzy olśnieni urokiem i blaskiem kilkuset pięknych dam, z natury rzeczy nie mogli zrazu zoryentować się w sytuacyi; stąd też na sali chaotyczny gwar, zgiełk i krzyżowe, wzajemne nawoływania, któremi sędziowie-wyborcy dążyli do porozumienia się i ostatecznej decyzyi; słowem — istna wieża Babel.

Gwar ten z każdą minutą rośnie i potężnieje w nieskończoność, aż nagle, jakby na dany znak, wszystko przycichło; w tej bowiem chwili pojawia się na sali balowej pani Drowa Boberowa z Tarnowa, która wykwintną swoją elegancyą, wytwornością i urodą — wszystkich bez wyjątku na sali obecnych zelektryzowała i zachwyciła. Nic też dziwnego, że urocza Tarnowianka w jednej chwili stała się panią sytuacyi i ku ogólnemu zadowoleniu zdobyła pierwszą nagrodę piękności w postaci dużego, srebrnego lustra toaletowego.

Lustro to powie pięknej p. Boberowej, czy nagroda słusznie się jej dostała.



Z pod murów Casablanca: Pierwsi obrońcy konsulatu francuskiego i zbiegowie, którzy znaleźli tam schronienie.



Z pod murów Casablanca: W czasie kilkugodzinnej walki zmęczony żołnierz nie zapomina o posiłku

opasłego Prusaka wylewa kilka „łez krokodylich“ — nie wiadomo z obrzydzenia, z żalu czy radości — rzuca się nań i bez ceremonii pożera. Niegrzeczny!

Igraszki te sprzykrzyły się rządowi pruskiemu, który też postanowił wytępić niebezpieczne dla swej przyszłości stworzenia i nałożył cenę na głowę każdego członka rodu krokodylowego. Dzicy tubylcy są teraz w położeniu znanego z przypowieści zwierzątka, któremu w jeden żłobek dano owsa, a w drugi siana. Z jednej strony niewątpliwie radzi oni są swym mimowolnym sprzymierzeńcom i tępicielom swych ciemięsców, z drugiej zaś kusi ich i nęci nagroda, jaką otrzymują od rządu za zabicie krokodyla. Urządzają więc od czasu do czasu polowania na straszne gady i wyłapują je w nurtach rzek afrykańskich.

* * *

Rycina nasza przedstawia własnie grupę negrów, jak transportują ujętego krokodyla do mieszkania gubernatora, aby otrzymać przyrzeczoną nagrodę.



Z pod murów Casablanca: Żuawi francuscy oczekują napadu konnicy marokkańskiej.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

35 Ciąg dalszy.

— Obawiam się, że wasze nadzieje są zbyt różowe — powiedział Porwa — co do mnie, mam wrażenie, że obiecana konstytucya uspokoi Rosyę w dziewięć dziesiątych, a my Polacy wyjdziemy z próżnemi rękami. Pozostanie nam walka w dumie o każdy okruch swobody.

— Tylko zrozpaczony pesymista może tak mówić po odniesionem zwycięstwie — zaśmiał się Wicher. — Cała Rosya na wulkanie, my współdziałamy; Inflanty i Kurlandya w ogniu; Finlandya się zbroi; Kaukaz zaczął partyzantkę... a wy jeszcze nie dowierzacie?

— Wiecie Porwa, że wysoko cenię wasz zmysł krytyczny — odezwała się Logika — ale zgodziłabym się w tym wypadku z towarzyszem, że patrzycie czarno na rewolucyę.

— Tak sądzicie? — uśmiechnął się Porwa — otóż zauważcie Logiko, że rewolucya, czyli socyaliści czerpią swe siły i są groźni dla rządu tylko dzięki temu, że poza partyą czynu stoi ławą cała Rosya, przeciwna systemowi i wszystkie podbite narody, nienawidzące despotyzmu. W chwili, gdy rząd daje konstytucyę, te dziesiątki milionów niezadowolonych topnieją do dziesiątek tysięcy szczerych rewolucyonistów i olbrzymia większość ludności pomoże sama rządowi nas zgnieść. Dziś mieliśmy już pierwszą zapowiedź zmiany w tonie rządu. Oświadczenie ministra, że wszelkie sprawy polityczne i społeczne 'są wykluczone z naszych żądań, dowodzi, że rząd wzrósł w siłę i pewność siebie. Ogłoszenie konstytucyi i to niczem niegwarantowanej, już przechyliło większość na stronę rządu.

— Chociażby było tak, jak mówicie — westchnęła Logika — walka będzie trwała aż do skutku.

— Ale w jak ciężkich warunkach!

— Może w Rosyi, ale nie u nas — rzekł Wicher — jeśli potrafimy ją wyzyskać... zwyciężymy.

— Jeśli... jeśli... — uśmiechnął się Porwa z goryczą — ale już daliśmy się ubiedz endekom i z naszego zwycięstwa oni skorzystają w pierwszym rzędzie.

— Przesada — wzruszył Wicher ramionami.

— Zobaczymy wkrótce.

— Kiedy?

— W manifestacyi narodowej.

Warszawa przygotowywała się gorączkowo do manifestacyi, mającej zaznaczyć żywotność narodu, który po stuletniej niewoli z tą samą nieprzerwaną siłą dąży do wolności i jak dawniej tak i dzisiaj uważa się za odrębną jednostkę narodową. Teraz nie szło ani o endeków, ani o esdeków, ani o pepeesowców, ani o ród, majątek, znaczenie; cały naród przez swą stolicę, Warszawę, miał zaświadczyć za pośrednictwem manifestacyi swe nieprzedawnione prawa do wolności i samodzielnego rozwoju politycznego i społecznego. Natychmiast znaleźli się liczni agitatorzy, którzy po wszystkich dzielnicach ogłaszali i zachęcali do narodowej manifestacyi. Wezwano wszystkie stany, wszystkie stronnictwa do współudziału. Urzędownie jednak żadne ze stronnictw socyalistycznych nie chciało lub nie mogło iść z manifestacyą. I tylko jedno, jedyne stronnictwo narodowej demokracyi, biorąc udział w obchodzie, stawało tem samem nietylko na pierwszem, najwybitniejszem miejscu, ale ujęło ster w swe ręce i stawało się wyrazem uczuć narodowych całego społeczeństwa. Żydzi zaproszeni do współudziału odmówili, gdyż manifestacya narodowa była przeciwną tak bundzistom jak i syonistom.

Pierwszy, który się dowiedział o zamierzonej manifestacyi, był podpułkownik von Plessen i celem narady przybył do Gołubiewa. Zastał go w domu, był rozdrażniony i niespokojny, a po przywitaniu podał sekretarz papier z czerwoną pieczątką, mówiąc nerwowo:

— Czytajcie Iwanie Iwanowiczu.

Ten rzucił okiem i rzekł z pogardliwym uśmiechem:

— Głupstwo... to marne pogróżki — i odłożył papier.

— Zróbcie mi tę grzeczność i odczytajcie uważnie, Iwanie Iwanowiczu — nalegał Gołubiew.

Podpułkownik wziął w rękę papier, odczytał i powiedział lekceważąco:

— No, to zwykły wyrok śmierci, jeszcze grzeczni, dają nam tydzień do namysłu.

— Rzecz w tem — mówił chmurny gospodarz — skąd te psi syny wiedzą, że ja telefonowałem do oberpolicmajstra?

— Hm... może ktoś podsłuchał? Teraz złe czasy... bratu rodzonemu nie można wierzyć. Ale wy się nie kłopoczcie wyrokiem, nie wy jedni dostaliście... ot pogróżki.

— Dobrze wam mówić... a pamiętacie Krasotina? I ten drwił, a jednak dopadli go i zabili.

— Hm... Krasotin?... Uważcie, że ten nałapał tych socyalistów co nie miara... to był szczególny ich wróg. A z wami Pawle Pawłowiczu inna sprawa, wy służycie jako cywilny i widocznego wpływu nie macie, nie spotykacie się z nimi bezpośrednio. Zresztą weźcie urlop i wyjedźcie na jakiś czas.

— Co to, to nie — zawołał Gołubiew — cała karyera przepadnie, nie, nie wyjadę... ale wiecie Iwanie Iwanowiczu, dajcie mi ochronę... dwóch wystarczy dla mnie.

— Ależ bardzo chętnie... Dam wam dobrych i pilnych... możecie być zupełnie spokojni, ręczę za nich... a wasza gorliwość służbowa tylko wam zaszczyt przynosi — uścisnął mu rękę.

Sekretarz odetchnął, zapalił papierosa i spytał uprzejmie:

— Cóż u was nowego, Iwanie Iwanowiczu?

— U mnie, jak u mnie — uśmiechnął się von Plessen — ale mam złe wieści z miasta i z temi przyszedłem do was.

— Cóż takiego? Bunt, czy co?

— Gorzej... Polacy na podstawie październikowego manifestu, nietylko żądają konstytucyi, ale dążą do zerwania z Rosyą.

— To było do przewidzenia — westchnął Gołubiew — ten Witte to zły duch naszej Rosyi, on ją zgubi.

— Takie i moje zdanie, ale od tego my tutaj, aby przeciwdziałać... Polacy chcą urządzić manifestacyę narodową, otóż na podstawie konstytucyi zebrania są dozwolone, a nasza rzecz wyzyskać tę sprawę.

— Hm... jakże to rozumiecie?

— Bardzo prosto... trzeba staremu Czerniejewowi przedstawić ten ich ruch jaskrawo... zabronić im manifestacyi antipaństwowej, stłumić w zarodku ich dążenia separatystyczne i póki się nie uspokoi kraj, nie wprowadzać żadnych zmian.

— Teraz pojmuję — zaśmiał się uradowany Gołubiew — Witte daje konstytucyę, a my, zatrzymując dawny rząd w Królestwie, nietylko nie tracimy naszego stanowiska, ale wykazujemy, że dla uspokojenia Rosyi konstytucya jest szkodliwą.

— Ot z wami, Pawle Pawłowiczu, przyjemnie się rozmówić — uśmiechnął się von Plessen — u was ministeryalna głowa.

To uznanie bardzo schlebiło sekretarzowi i rzekł z udaną skromnością:

— Cały oddałem się służbie, ona jedna i jedyna u mnie.

— To wiadome — skinął von Plessen głową — a teraz zastanówcie się, w jaki sposób to przeprowadzić, bo ze starym będzie trudno. Jest przykaz, żeby konstytucyę wprowadzić, on gotów to zrobić... otóż trzeba coś na to poradzić.

— No tak — mówił zamyślony Gołubiew — starego trzeba wziąć sztuką.

Wstał, przeszedł się po pokoju kilka razy, wypił herbatę, a stanąwszy przed podpułkownikiem powiedział z uśmiechem tryumfu:

— Już mam!

— Mówcie, Pawle Pawłowiczu, nie wątpię, że plan wasz znakomity.

— Strejk kolejowy zaskoczył tu trzech wojennych gubernatorów, ze Siedlec, Piotrkowa i Kalisza, trzeba ich wezwać na naradę do Czerniejewa.

— Pomysł genialny — zatarł ręce von Plessen — wy, Pawle Pawłowiczu, stworzeni na ministra. Ja biorę na siebie piotrkowskiego gubernatora, to mój dawny, dobry znajomy i za niego ręczę. On pójdzie z nami.

— Nie wątpię — uśmiechnął się Gołubiew — że wszyscy zgodzą się chętnie na nasz plan.

— Bywają różni — westchnął von Plessen — czasem dla przypodobania się ministrowi zapominają o obowiązkach względem państwa i jego potęgi... No, Pawle Pawłowiczu, nie zapominajcie, że czas nagli, dziś piątek, a manifestacya ma się odbyć w niedzielę.

— Postaram się, aby stary dziś zwołał posiedzenie... już mu przedstawię konieczność.

— Zwracam też waszą uwagę, Pawle Pawłowiczu, że skoro nasz plan się uda, my zdusimy socyalistów i oduczymy ich od posyłania głupich listów z pogróżkami.

— Dziękuję wam za wyjaśnienie, Iwanie Iwanowiczu, jakkolwiek wiedziałem, że dziś Polacy wolni, dziś nas wszystkich wymordują i wywieszają.

— Tak, tak, to zawzięty i chytry naród, znam ich dobrze.

Porozmawiali jeszcze chwilę i von Plessen wyszedł.

Gołubiew, składając raport południowy Czerniejewowi, mówił:

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę waszej ekscelencyi, że Polacy dążą nietylko do konstytucyi własnej, ale, korzystając z wolności zebrań i słowa, chcą podburzyć całą ludność przeciw nam i urządzić pogrom Rosyan.

Czerniejew podniósł zimne oczy na mówiącego i z lekkim sarkastycznym uśmiechem rzekł:

— Strach ma wielkie oczy... skąd? co? jak? Mamy dosyć wojska, aby zdusić do ziemi całą ludność.

— Nie ośmieliłbym się niepokoić waszej ekscelencyi, gdyby nie doniesienia tak naczelnika żandarmeryi, jak i ochrany, że na niedzielę przygotowują Polacy wielką manifestacyę wolnościową i przeciwpaństwową. Wiadomości z prowincyi są niepokojące, jak mówią panowie gubernatorowie wojenni... bunt szerzy się i ogarnia masy.

Czerniejew milczał przez chwilę, wreszcie rzekł do sekretarza:

— Zwołaj pan na dziś nadzwyczajne posiedzenie... zaproś panów gubernatorów.

— Na którą godzinę każe ekscelencya?

— O szóstej będę mógł przyjąć.

Gołubiew z ukrytą radością wyszedł z gabinetu, porozumiał się z podpułkownikiem von Plessen, i nie żałował trudu i starań, aby nietylko zaprosić wyznaczone osoby, ale o ile można usposobić ich dobrze dla swego planu.

W oznaczonej godzinie zjawili się wszyscy w sali posiedzeń; wszyscy w paradnych mundurach, ozdobionych orderami. Twarze surowe, skupione i rozmawiające półgłosem, nasłuchiwali nadejścia Czerniejewa. Dały się słyszeć ciężkie kroki, drzwi otwarły się szeroko, wszedł generał Czerniejew, skłonił się zgromadzonym, usiadł na przygotowanym fotelu, a gdy wszyscy zajęli swe miejsca, powiedział tonem urzędowym:

— Doszło do mej wiadomości, że manifest konstytucyjny nie uspokoił zachceń rewolucyonistów tak w Warszawie, jak i w innych guberniach kraju — spojrzał na trzech gubernatorów — wobec tego wezwałem panów i chciałbym usłyszeć wasze zapatrywania na tę sprawę. Idzie mi głównie o to, co zresztą zaznaczyła rosyjska ludność Warszawy, iż nasze państwo z konstytucyą czy bez niej jest nierozerwalne i jednolite. Podobno pan podpułkownik von Plessen posiada pewne wiadomości w tym kierunku.

— Istotnie ekscelencyo — zaczął von Plessen — nadana konstytucya zamiast uspokojenia przyniosła nam zaraz w pierwszym dniu orgie socyalistów. Rządowi grozi niebezpieczeństwo od pozornie spokojnych i lojalnych Polaków. W najbliższą niedzielę chcą oni zamanifestować swą niezależność i dążenie do oderwania się od państwa. Mojem zdaniem podobnym zachciankom należy w samym zarodku kres położyć energicznem wystąpieniem. Zabronić zebrań, manifestacyi, surowo cenzurować pisma, a w razie potrzeby użyć siły wojskowej.

Szmer uznania przeszedł wśród zebranych, a pułkownik Buriatow, naczelnik ochrany, następca zabitego Krasotina, silny brunet, z twarzą szczupłą, bladą, poprawiwszy opadający wąs przemówił:

— Posiadam pewne wiadomości, że niedzielny pochód narodowy ma tylko na celu przypomnieć Polakom ich walki o niepodległość, zaświadczy on o bezsilności rządu wobec ruchu mas i pouczy wszystkich, że dziś nadeszła chwila oderwania się od Rosyi. Podniecona nadzieją bezkarności ludność przy pierwszym tumulcie rzuci się na ruskich ludzi i prawdopodobnie zacznie rabować i mordować „najeźdźców“, jak nas nazywają w tym naszym kraju. Z tego powodu jak najusilniej popieram plan podpułkownika von Plessen i, mojem zdaniem, aż do dalszego rozporządzenia z Petersburga, zostawić wszystko jak było przed manifestem październikowym. Stan wojenny powinien trwać dalej, wszystko ująć w żelazne ręce rządu i tłumić bezwzględnie antipaństwowe dążności.

Czerniejew słuchał uważnie, ale ani jeden rys twarzy nie drgnął, a wyraz surowych oczu pozostał niezmieniony. Gdy Buriatow skończył, generał spojrzał na gubernatorów i spytał:

— Jak zachowuje się prowincya?

Pierwszy zabrał głos gubernator wojenny piotrkowskiej gubernii, człowiek wielki, tęgi z ryżawą brodą:

— Moja gubernia roi się od zrewolucyonizowanych socyalistów, ile fabryk, tyle gniazd rewolucyi. Przy zastosowaniu konstytucyi bardzo łatwo może przyjść do buntu czynnego. Broń mają, dynamitu nie brakuje, a nienawidzą władzy, będą mordowali wszystkich urzędników, oficerów, tak że nie będzie można naszym wyżyć. Dotychczas jako tako trzymałem ich na wodzy przy strachu przed sądami wojennymi, ale przy konstytucyi wybuch rewolucyi niemal pewny.

— Jeśli wy, Andrzeju Michajłowiczu tak mówicie — przemówił wojenny gubernator ze Siedlec — cóż ja mogę powiedzieć? Już ukaz tolerancyjny wywołał w mojej gubernii prawdziwy bunt. Unici drwili z cerkwi, z popów, tworzyli banderye, lekceważyli policyę, niesłuchali naczelników i tam, gdzie nawet przy rewizyach nie znaleziono druku polskiego, dziś w jasny dzień czytają i natrząsają się ze strażników. Teraz przy konstytucyi dawna ich nienawiść do russkich i prawosławnych wybuchnie z całą siłą, bez sądów wojennych nie dam rady.

— Zatem co radzicie panowie?— spytał Czerniejew — konstytucya nadana, unieważnić jej nie mamy prawa, sam Najjaśniejszy Pan podpisał. Osobiście możemy być tego lub owego zdania, ja sam nie zgadzam się na tak szeroką wolność niedojrzałego narodu, ale jako urzędnik muszę słuchać i panowie również.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się gubernator z Kalisza, von Klunder, suchy, wysoki, jasny blondyn, z twarzą długą, ozdobioną jasnymi faworytami:

— Mojem zdaniem cała ta konstytucya jest chytrym wybiegiem naszego premiera wobec nieprzygotowanego do wybuchu rządu. Tak zapatrują się też nasi najbliżsi sąsiedzi, Prusacy. Zdaje mi się, że postąpimy w myśl rządu, gdy gremialnie sprzeciwimy się rozciągnięciu konstytucyi na tutejsze Królestwo, ze względu na niepokoje i prądy rewolucyjne. Jak długo one będą trwały, dobrodziejstwa konstytucyi nie będą udziałem Królestwa, a że Polacy są zawsze skłonni do buntu, nie będą też korzystali z konstytucyi i wszystko zostanie po dawnemu.

— Dajże to Boże! — zawołał generał Tiszew. — Nasi uczeni, nasi profesorowie już myślą o przeniesieniu się, cała administracya niepewna jutra, sądownicy chodzą powarzeni... tylu ludzi pozbawić pensyi, życia... Jestem pewny, że ta konstytucya, jako nieprawnie wymuszona, w łeb weźmie, a dla nas honor, że my pierwsi staniemy w obronie cesarza i państwa.

— Doniesiono mi, że po pochodzie znaczniejsi obywatele mają zebrać się, wysłać deputacyę do tronu — mówił z wolna oberpolicmajster — z żądaniem zaprowadzenia polskich rządów, a usunięcia ruskich z całego kraju.

— Kiedy mają się zebrać? — spytał generał Czerniejew.

— Zapewne w kilka dni po pochodzie, bo chcą zebrać delegatów z całego kraju. Mojem zdaniem ten pochód jest niemożliwy, po prostu jest on wyzwaniem, rzuconem nietylko nam russkim, ale całemu państwu.

— Nu, dożyli czasów, nie daj Boże — westchnął Tiszew głęboko — jawny bunt, naigrawanie się z władzy, mordują naszych w biały dzień, a my czekamy z rękami założonemi. Oj czasy! czasy!

Gołubiew, dotychczas milczący, poruszył się niespokojnie, co zobaczywszy Czerniejew skinął głową przyzwalająco, a on zaczął:

— Królestwo Polskie kosztowało nas tyle krwi i starań, że nigdy żaden Rosyanin nie zgodzi się na jego utratę, pomijając, że ono łączy nas z Europą. Otóż w chwili, gdy dzięki naszym rządom wzrosło ono w bogactwo i przemysł, przychodzi chwilowy kryzys, zażegnany konstytucyą, ale bez żadnej gwarancyi ze strony rządu. To był prawdziwie wspaniały pomysł, aby zyskać na czasie wobec szalejącej rewolucyi. Królestwo pierwsze manifestuje swe wolności, obciąć podobne zachcenia, a ratujemy naszą świętą Rosyę od rozlewu krwi. Gdy zobaczą w Rosyi, że konstytucya konstytucyą, a my rządzimy po staremu, zrozumieją łatwo, że wolności mogą mieć tyle, ile rząd sam pozwala. Otóż mojem zdaniem pozwolić na ten ich pochód, nie robić przeszkód, a gdy popełnią samowolę, zdusić. Po zduszeniu pochodu muszą w kraju nastać wojenne rządy, a gdy Polacy zaczną się łasić, można będzie to i owo na jakiś czas złagodzić.

— Nu, mądra rada — zawołał Tiszew ze szczerem uznaniem.

Inni patrzeli w zagadkową twarz Czerniejewa, który po krótkim milczeniu przemówił:

— Podobnie jak panowie i ja czuję, że konstytucya na gruncie tutejszym wyda dla nas gorzkie owoce... Jednak manifestu październikowego nie możemy cofnąć, prawo jest prawem, a my urzędnicy musimy być posłuszni. Konstytucya jest i wolno ludności manifestować swą radość, a o ile



Wszedł z miną butną, pewną siebie, wyprostowany po wojskowemu.

manifestanci targnęliby się na ustrój państwowy, będą ukarani i pociągnięci do odpowiedzialności. Na manifestacyę muszę pozwolić, a w przewidywaniu możliwych rozruchów wojsko, tak kawalerya, jak i piechota i artylerya mają być w pogotowiu i rozstawić je w różnych dogodnych punktach. Czy i kiedy rozpędzić manifestantów, zależy tylko od moich osobistych rozkazów. Żandarmeryę i policyę z ulic, któremi przechodzić będzie pochód, usunąć zupełnie... Przypuszczam, że po nieszczęsnym przypadku przed ratuszem, ludność sama będzie unikała starcia z zbrojną siłą.

Na twarzach zebranych dygnitarzy było widać gniewne rozczarowanie, a Gołubiew pobladł z oburzenia, gdy Czerniejew mówił o osobistym rozkazie i nie wspomniał słowem o jego planie.

Wśród milczenia rzekł gubernator kaliski z ironią:

— Zatem gramy dalej komedyę pomyłek.

Inni z gorzkim uśmiechem przytakiwali jego słowom.

— Mylicie się panowie — zawołał ostro Czerniejew — czas na krytykę, bo jeszcze nie skończyłem... Muszę tu podnieść wielką gorliwość panów o całość i nienaruszalność naszego państwa i przychylam się do zdania panów, że konstytucya dla Królestwa w każdym razie zawczesna. Stosowny memoryał każę wygotować do Petersburga, a każdy z panów zechce swe powody podać jasno i krótko. Pan sekretarz zapisze je dosłownie... Zatem zaczynamy.

Każdy z obecnych przedstawiał siebie, jako gorliwego obrońcę zagrożonej całości państwa i żądał wygórowanych środków surowych, aby kraj utrzymać w spokoju i w posłuszeństwie.

Posiedzenie miało się już ku końcowi, gdy do drzwi zastukano dyskretnie.

Gołubiew poszedł i po chwili wrócił meldując:

— Hrabia Stinberg, konsul cesarstwa niemieckiego, prosi o posłuchanie w sprawie ważnej.

— Każ go pan tu poprosić.

Wszedł z miną butną, pewną siebie, wyprostowany po wojskowemu, a przywoławszy uśmiech na swe szerokie, wygolone, mięsiste usta, przywitał bardzo uprzejmie Czerniejewa, ıunym się skłonił i rzekł po rosyjsku akcentem niemieckim:

— Pozwoliłem sobie trudzić waszą ekscelencyę w sprawie pilnej, która do pewnego stopnia interesuje też cesarstwo niemieckie.

— Czy to tajemnica urzędowa?

— Wcale nie, to sprawa warszawska, a dokładniej mówiąc, polska.

— W takim razie zechciej pan mówić, panie hrabio... to są moi przyjaciele.

— Zapewne waszej ekscelencyi wiadomo, że Polacy przygotowują wielką manifestacyę na niedzielę. Nie wiem, co wasza ekscelencya postanowi... ale w obawie możliwych ekscesów przeciw cesarstwu, którego mam zaszczyt być reprezentantem, prosiłbym o posterunek wojskowy... następnie z rozkazu mego rządu ośmielam się zwrócić uwagę waszej ekscelencyi, że mój rząd jest słusznie zaniepokojony wolnościowym ruchem wśród tutejszych Polaków, mamy i my naszych, dotychczas niestety nie bardzo lojalnych. Zbyt wygórowane nadzieje politycznych swobód mogą ujemnie oddziałać na sąsiednie Wielkie Księstwo. Te ich porywy wolnościowe i autonomiczne sprowadzić do właściwej miary, byłoby dla nas bardzo pożądane.

Czerniejew, który nienawidził Niemców, spochmurniał i odpowiedział wprawdzie grzecznie, ale chłodno:

— Miło mi widzieć pana hrabiego, ale troska jego o bezpieczeństwo konsulatu jest cokolwiek nieuzasadnioną, spokój w mieście nie zostanie zakłócony a wojsko otrzymało już stosowne rozkazy. Co do przesadnych nadziei Polaków w konstytucyę, rząd posiada zawsze dość siły, aby je utrzymać w granicach właściwych.

— Wiedziałem, że tylko dobre wiadomości usłyszę z ust waszej ekscelencyi — uśmiechnął się słodko konsul — a jeśli pozwoliłem sobie przybyć do waszej ekscelencyi, uczyniłem to z obowiązku mego, jako przedstawiciel zaprzyjaźnionego mocarstwa.

— W naszą przyjaźń nie może pan hrabia wątpić... a co do Polaków, wierz, panie hrabio, póki ja w urzędzie, będą spokojni i ulegli.

— Słowa waszej ekscelencyi wystarczają mi w zupełności — skłonił się konsul, i po kilku banalnych, towarzyskich frazesach wyszedł.

— Nu, zastraszył się Niemiec — zaśmiał się Tiszew głośno.

Gubernator von Klunder z Kalisza spochmurniał i rzekł tonem napomnienia:

— Wolność Królestwa powikła nasze dobre stosunki z Prusakami, oni doskonale rozumieją niebezpieczeństwo ze strony Polski... ale sam przyjazd konsula świadczy, że konstytucyi tutaj nie będzie. Kwestya Polski jest kwestyą międzynarodową, a my po wojnie musimy się liczyć z Prusami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Strejki w Belfast.

Jedną z największych zdobyczy życia przemysłowego w ubiegłym wieku, jest bezsprzecznie strejk, który obecnie znajduje zastosowanie we wszystkich grupach pracujących, związanych jednym wspólnym interesem. Do niedawna tylko robotnicy używali strejku jako najlepszej broni przeciw pracodawcom; niestety, oręż ten okazał się obosiecznym, bo poczęli go używać i fabrykanci, skierowując jego ostrze przeciw robotnikom. Właściciele przedsiębiorstw przemysłowych wstrzymują ruch w swych zakładach i wówczas całe rzesze robotnicze zostają bez zajęcia. Strejk taki zwany jest lokautem. Z przemysłu strejk przeszedł do najrozmaitszych instytucyj, tak iż często zdarzają się wypadki, iż strejkują urzędnicy prywatni i rządowi, profesorowie zakładów naukowych i ich uczniowie; podobno grozi strejk i w Watykanie gwardyi papieskiej; strejkują często i posłowie w izbach deputowanych, a przyszłe czasy okażą nam może jeszcze oryginalniejsze strejki.

Miejscem ciekawych wypadków strejkowych jest obecnie miasto nadmorskie w Irlandyi, Belfast, centrum życia przemysłowego tej wyspy. Jak wiadomo, między ludnością irlandzką a Anglią oddawna istnieją znaczne nieporozumienia, doprowadzające nieraz do starć. Władze angielskie w Irlandyi nie mogą się chlubić swymi rządami, które doprowadziły ludność tego pięknego i cnotliwego kraju do ostatniej prawie nędzy. Nienawiść też miejscowej ludności do zaborczego rządu nie ustaje, mając za swe podłoże nietylko pobudki materyalne, ale i narodowościowe i religijne, gdyż Irlandczycy są przeważnie katolikami. Wszelkie rozruchy łatwo też tam wybuchają. W Belfascie, gdzie robotnikami są przeważnie Irlandczycy ubodzy, a ciągle rozgoryczeni, najczęściej przychodzi do wybuchów.

Przez całą prawie drugą połowę lipca trwał w Belfascie burzliwy strejk robotników, podczas którego policya tamtejsza miała dosyć do czynienia. Widocznie konstablom to nadmierne zajęcie nie bardzo się podobało, bo zaledwie zażegnano strejk robotniczy, gdy oto wybuchł nawet w dość gwałtowny sposób strejk policyantów, królewskiego irlandzkiego korpusu konstablów.

Przykład działa zaraźliwie, to też i panowie konstable nie chcieli pozostać w tyle, okazali się wrażliwymi na ideę bezrobocia i strejk znalazł uznanie nawet pomiędzy tymi stróżami bezpieczeństwa i porządku. Już dawniej szemrali z powodu małego wynagrodzenia, które nie pozwalało im nawet na rozniecenie domowego ogniska, w przeważnej też liczbie konstable niższych stopni pozostają w bezżeństwie. Postanowili więc wnieść do wicekróla Irlandyi petycyę, w której wyrazili swe desiderata, odnoszące się nietylko do podwyższenia płacy, lecz i do karności. Popierali swe żądania nadmiernymi trudami, jakie ponieśli podczas ostatniego strejku. Te policyjne żądania nie zostały uwzględnione, nic więc dziwnego, że ci ludzie orężni wzniecili rebelię. Znalazł się i dowódca, pan Barreth, zwany „Bothą ruchawki“ od imienia generała boerskiego. Niestety, tak generała tego, jak i pięciu głównych sprawców, natychmiast aresztowano. Władze na dobre wzięły się do uśmierzenia tego oryginalnego strejku. Belfast postawiono w stan oblężenia; wzmocniono załogę. Ulice, place, parki przedstawiają małe obozy wojskowe. Przy użyciu takich środków, nie było rządowi angielskiemu trudno pogodzić się ze swymi królewskimi konstablami, tembardziej, iż znowu poczęło grozić niebezpieczeństwo, nowy strejk. Powstali mianowicie robotnicy portowi, zajęci przy ładowaniu towarów na okręty. Charakter tego strejku jest zupełnie inny od policyjnego. Panowie konstable jako kawalerowie, nie mieli do pomocy żon, robotnicy zaś w swych towarzyszkach znaleźli silną podporę. Strejk przyjął odrazu groźne rozmiary, zwłaszcza że miał w sobie tak zapalny żywioł, jak kobiety. Robotnicy rzucili się na niedawnych swych towarzyszy strejkujących, ciężko poturbowali i poranili kilku policyantów, a nawet rzucili się na koszary policyjne i zdobyli je. Wystąpiło do działania wojsko, które jednak okazało się za słabem, bo w pierwszych szeregach strejkujących znalazły się kobiety. Rycerscy Anglicy nie mogli kłuć bagnetami niewiast, musieli więc ustąpić przed atakującymi, zwłaszcza, że dość często padały kamienie z tłumu i z okien domów. Wysłano wreszcie kawaleryę, której szarże rozpędziły tłum, pomimo dość gęsto porozstawianych barykad. Skutkiem tych starć dwie osoby zabito, kilka zaś ciężko raniono. Rozruchy na razie pokonano, strejk jednak nie ustał dotychczas.



Strejki w Belfast: Resztki barykad na ulicy św. Jerzego.



Strejki w Belfast: Zajęcie doków w porcie przez wojsko.

* * *

Ryciny nasze przedstawiają kilka widoków miasta po ukończeniu walki.

Misya w Żelechowie.

Miasteczko Żelechów, położone w dawnej ziemi sandomierskiej, sięga swymi początkami bardzo odległej przeszłości. Wedle kroniki Długosza, był Żelechów już w XIV. wieku gniazdem znanego w dziejach rodu Ciołków, którzy później od owego miasta przyjęli nazwisko Żelechowskich.

Dzieje tej miejscowości były bardzo rozmaite, a koleje, jakie ona przechodziła, niejednokrotnie



Strejki w Belfast: Wezwane do pomocy wojsko, pilnuje w porcie wyładowanych z okrętów towarów.

ciężkie. Dziś liczy Żelechów około ośmiu tysięcy mieszkańców, w tem zaledwie czwartą część chrześcijan; resztę stanowią żydzi. Mieszczanie tamtejsi zajmują się przeważnie rolą, rzadziej rzemiosłami. Oświata stoi nisko, do czego niemało przy-



Misya w Żelechowie: Proboszcz parafii Żelechowskiej ks. prałat Konstanty Bieńkowski.

czynia się i ubóstwo powszechne. Dzięki usiłowaniom kilku jednostek dobrej woli, założono tam chrześcijańską kasę pożyczkowo-oszczędnościową, koło polskiej Macierzy szkolnej i straż ogniową ochotniczą. Po wielkim pożarze w 1880 r., miasteczko zabudowało się wcale przyzwoicie; ozdobą Żelechowa jest zwłaszcza kościół parafialny i wspaniały pałac, otoczony obszernym parkiem.

W tym to kościele parafialnym, dominującym nad całem miasteczkiem, odprawiono niedawno całotygodniową misyę, a najstarsi mieszkańcy Żelechowa i okolic jego nie pamiętają tak wspaniałej uroczystości i tak tłumnego zgromadzenia ludu. I nic dziwnego, gdyż od ostatniej misyi, odprawionej tutaj, upłynęło już 151 lat.

Misya tegoroczna odbyła się staraniem proboszcza żelechowskiego, zasłużonego prałata ks. Bieńkowskiego. Na jego zaproszenie przybyli tam trzej zakonnicy braci mniejszych św. Franciszka, a wiadomość o tem dała ludności z całej okolicy hasło do zgromadzenia się, celem wysłuchania nauk i odprawienia św. Sakramentów.

Przez cały tydzień głosili OO. Franciszkanie po kilka godzin dziennie naukę świętą, poczem odbywały się nabożeństwa. Ludność gromadziła się tłumami kilkunasto-tysięcznymi zarówno na kazania przepiękne i budujące, jak na nabożeństwa i w wielkiem skupieniu brała w nich udział. To też mimo tak licznego udziału nie przyszło przez cały czas trwania misyi do zakłócenia spokoju ani do żadnego dyssonansu.

Misya zakończyła się wspaniałą procesyą po mieście do czterech ołtarzy i poświęceniem pamiątkowego krzyża misyjnego. Dzięki swemu podniosłemu i poważnemu charakterowi, wywarła ona bardzo błogie skutki, a ludność miejscowa wdzięczną jest szczerze i głęboko zarówno OO. Franciszkanom, którzy z całem poświęceniem pracowali nad jej umoralnieniem, jak swemu duszpasterzowi ks. proboszczowi Bieńkowskiemu, który zajął się urządzeniem misyi.



Misya w Żelechowie: Księża Franciszkanie, OO. Paweł, Dyonizy i Ryszard, którzy odprawiali misyę.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy kilka zdjęć z Żelechowa i odprawionej tam misyi OO. Franciszkanów.

Skon wybitnego kardynała.

W kollegium kardynalskiem zawakowało znowu miejsce przez śmierć kardynała Dominika Svampy. Zmarły arcybiskup Bolonii należał do najmłodszych ale zarazem i do najwybitniejszych purpuratów, podczas zaś ostatniego konklawe należał do najpoważniejszych „papabile“. Sprawdzić się bowiem miało na nim proroctwo Malachiasza, które następcę Leona XIII określa jako *ignis ardens*, Svampa zaś po włosku oznacza płomień, co równoznaczne jest z ignis. Wybór jednak padł na obecnego papieża, którego herb odpowiadał również temu proroczemu orzeczeniu.

Kardynał Svampa, urodzony w r. 1851, kształcił się w Seminaryum Piusa w Rzymie, po ukończeniu którego Leon XIII mianował go profesorem uniwersytetu papieskiego. Już w zaraniu swej karyery kościelnej odznaczał się zmarły kardynał rozległą wiedzą, doszedł też wkrótce najwyższej godności. W roku 1887 otrzymał sakrę biskupią, jako biskup Forli, a w 7 lat później okryty purpurą wyjechał do Bolonii, jako tamtejszy arcybiskup. Wysoki, piękny mężczyzna, o niezwykłej uprzejmości i wykształceniu, zyskał sobie nietylko miłość swych dyecezyan, ale i wielkie wpływy, z pomocą których świadczył wiele dobrego. Z pośród swych kolegów kardynalskich wyróżniał się pewną postępowością w polityce, hołdował bowiem w teoryi zasadom republikańsko-federalistycznym; również był w dobrych stosunkach z nowemi Włochami. W roku 1904 podczas pobytu królewskiej pary włoskiej w Bolonii brał udział w uroczystościach tamtejszych przy boku królewskim, był więc pierwszym purpuratem, który zupełnie oficyalnie utrzymywał stosunki z dworem sabaudzkim. Poprzednio zaś, gdy król Humbert zjechał do Bolonii, kardynał Svampa z rozkazu Watykanu wyjechał na objazd dyecezyi, by nie spotkać się z tym monarchą.

Stan zdrowia kardynała Svampy nagle w ostatnich czasach pogorszył się znacznie, tak iż śmierć przyszła zupełnie niespodzianie. Przed śmiercią pożegnał się z swymi wiernymi i klerem, któremu zawsze świecił przykładem.



Misya w Żelechowie: Kazanie O. Pawła podczas misyi.



Misya w Żelechowie: Parafianie żelechowscy; najmniejszy i największy.

Zmarły świeżo purpurat odznaczał się nietylko wybitną i bardzo głęboką wiedzą i zdolnościami niepospolitemi, ale też i świątobliwością nadzwyczajną. Zalety te, znane i cenione już dawniej, kiedy zmarły kardynał był w Rzymie, a następnie w Forli, zajaśniały zwłaszcza w całej pełni blaskiem niezwykłym w Bolonii, na trudnem i odpowiedzialnem stanowisku arcybiskupa i zwierzchnika archidyecezyi.

Całą duszą oddany sprawom swych owieczek, dbał w pierwszej linii o podniesienie ich moralne. Wobec podwładnego duchowieństwa postępował zawsze z ogromną konsekwencyą, a będąc surowym, kierował się równocześnie zawsze i tylko sprawiedliwością.

Zgon przedwszesny tego dzielnego a tak wybitne zajmującego stanowisko kapłana, wywołał powszechny i szczery żal nietylko w całej archidyecezyi bolońskiej ale i w Rzymie, w kollegium kardynalskiem.

Wyrazem tego powszechnego żalu i żałoby był pogrzeb zmarłego kardynała; smutny ten obrzęd zgromadził tysiączne rzesze miejscowej ludności, która oddaniem ostatniej posługi chciała zamanifestować swe uczucia.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret ś. p. kardynała Svampy.



Misya w Zelechowie: Banderya, towarzysząca odjeżdżającym OO. Franciszkanom

Największy dyament.

Polityka jest wielką nauką i wielką sztuką. Aby jej wszystkie tajemnice posiąść, aby stać się jej wszechwładnym panem i zapoznać z trudnymi jej arkanami, trzeba lata całe poświęcić wszechstronnym studyom. A i to jeszcze nie wystarczy. Bo przedewszystkiem trzeba znać życie i jego przejawy, trzeba znać ludzi i umieć z nimi postępować.

Łatwo zaś jest zyskać oklaski i powodzenie wśród swych przyjaciół i zwolenników, ale trudno zdobyć je od przeciwników. Kto jednak dokaże tej sztuki i może się poszczycić takiem zwycięstwem, powinien uchodzić za wielkiego polityka. Do takich bezsprzecznie należy władca Anglii.



Skon wybitnego kardynała: Dominik Svampa.

Król Edward VII. umie zjednywać sobie sympatye nawet u swych przeciwników, jak tego dowodzi oryginalny dar, złożony niedawno królowi angielskiemu. W Pretoryi, stolicy Transvaalu, pierwszy minister, jen. Botha, wniósł w zgromadzeniu prawodawczem wniosek, aby rząd transvaalski zakupił niedawno znaleziony dyament Cullinan i ofiarował go królowi angielskiemu z wdzięczności za przyznanie Boerom pełnych swobód autonomicznych.

Darowi temu nadaje specyalne znaczenie nietylko wartość dyamentu, ale i jego rozmiary, jest on bowiem największym na świecie. Obecnie w stanie jeszcze nieobrobionym waży 2660 karatów, podczas gdy dotychczasowe największe brylanty, znajdujące się w posiadaniu domów panujących, są znacznie mniejsze. Dotychczas największym był „Orłow“, 194$^3/_4$ kar., zdobiący berło rosyjskie; mniejszym jest „Florentczyk“, 139$^1/_2$ kar., własność austryackiego monarchy; w porządku wielkości trzecie miejsce zajmuje „Gwiazda południowa“, 125 kar., przechowywana w Luwrze, w Paryżu, i wreszcie „Kohinoor“, 106 kar., ozdoba skarbca angielskiego.

Wspaniałymi zbiorami brylantów, wartości kilku milionów koron, cieszą się także i niektóre domy magnackie, jak ks. Schwarzenbergów, hr. Schönbornów, Erdöbych, Esterhazych. Największym a i najdroższym z nich jednak jest Cullinan, tak ochrzczony od nazwiska dyrektora kopalń towarzystwa „Premier“, w której go znaleziono. Wartość „Cullinana“ oceniona została na przeszło cztery miliony koron, długość jego wynosi 4 cale, a szerokość 22 cali. Jak każdy dyament tak i „Cullinan“ poddany będzie szlifowaniu, przyczem utraci 260 karatów, wartość jego nie zmniejszy się jednak, lecz raczej wzrośnie przez artystyczne obrobienie, bo wtedy dopiero okaże się najjaśniej cała jego czystość i niezrównany blask, jaki będzie rozsiewał. Obrobienie go kosztować będzie kilkadziesiąt tysięcy koron, w szlifierni czuwać nad nim będą dwaj ajenci policyjni i mąż zaufania towarzystwa „Premier“, jako dotychczasowego właściciela Cullinana.

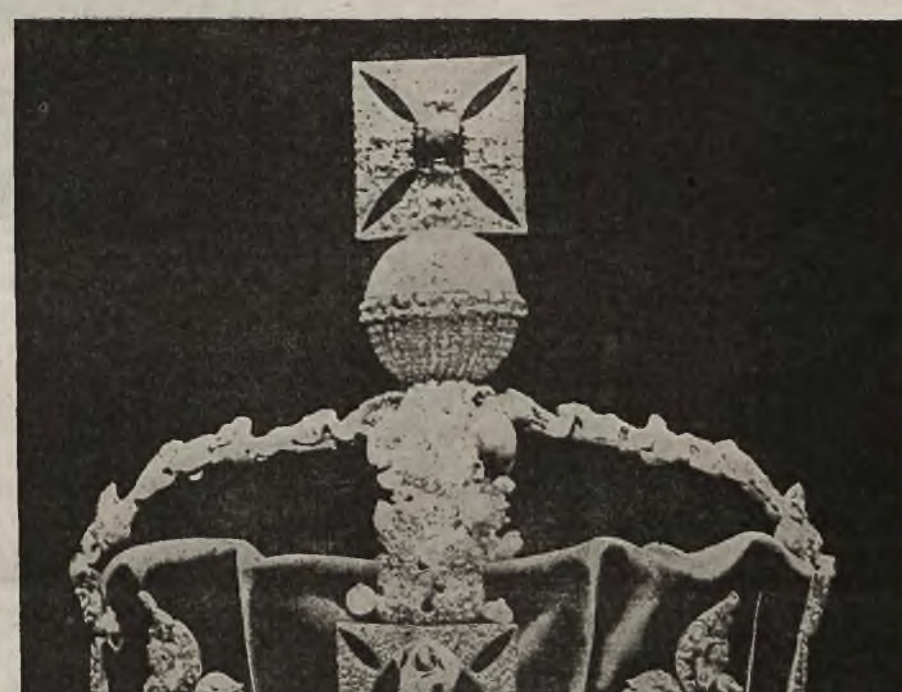
Zanim powstał ten projekt ofiarowania Cullinana królowi Edwardowi, zamierzano początkowo pociąć go na drobne brylanty, by umożliwić sprzedaż. Rynek brylantowy koncentruje się w Paryżu, gdzie roczny obrot w tym handlu wynosi przeciętnie 75 milionów franków. Miliarderzy amerykańscy, nababi indyjscy, król siamski, arystokracya europejska tam wzbogaca swe skarbce, brylanty te jednak przedstawiają wagę mniej więcej 5 do 25 karatów. Taki los miał spotkać i tego olbrzyma, dopiero jenerał Botha ratuje go od rozczłonkowania.

Jeżeli król Edward zgodzi się na przyjęcie tego daru, dyament ten przewieziony zostanie do Antwerpii lub Amsterdamu, gdzie w rękach artystycznych tamtejszych szlifierzy zajaśnieje wspaniałym blaskiem. Najprawdopodobniej Cullinan umieszczony będzie w jednej z koron angielskich, których skarbiec w Londynie posiada dwie. Obręcz jednej ozdabiają cztery krzyże i cztery lilie z drogich kamieni i pereł. Drugą koronę, niesłychanie drogocenną, sprawiła królowa Wiktorya 1838 roku w Bridge. Niezmierną jej wartość podnosi historyczny rubin, ofiarowany niegdyś przez króla Kastylii, Don Petra. Bogactwo jej stanowi 3093 brylantów, rubinów i szafirów. Oprócz tego nad obręczą znajdują się cztery szerokie krzyże i cztery lilie, które pokrywa obsiane brylantami jabłko koronne z olbrzymim szafirem pośrodku.

Chociaż już więc sama korona przedstawia olbrzymią wartość, to przecież wzrośnie ona niepomiernie przez dołączenie do zdobiących ją klejnotów dyamentu Cullinan. Bogactwo tej korony będzie też symbolem bogactwa Anglii, która przez swój bajeczny przemysł i przez kolonie zamorskie zdobyła niezmierne skarby.

* * *

Rycina nasza przedstawia wielkość Cullinana w stosunku do tej bezcennej korony.



Największy dyament: Dyament Cullinan obok angielskiej korony.

Dr. Włodzimierz Lewicki.

Przez włoską Rivierę do Sycylii

1) LISTY Z PODRÓŻY.

Trudno opisać urok chwili, gdy pod jasno przejrzystem niebem południa budzi się dzień. Ma ona bowiem w sobie nietylko właściwą tym cichym godzinom uroczystość, nietylko bezmierną, a coraz bardziej jasną ciszę zadumy świata przed przyjściem Pana i Króla. Jest w niej prócz tego, tam właśnie, na południu, radosne odetchnienie ziemi i nieba po minionego dnia skwarach, które długo jeszcze po zgaśnięciu słońca, późno w noc, obejmują ludzi i ziemię gorącym uściskiem. Rzeźwiący chłód spada na zbocza liliowo-różowych wzgórz, na czoła czarnych jeszcze od nocy, a już szczytami ku światłu rozkosznie drżących drzew, a potem zstępuje niżej, wnika powiewem w duszne izby ludzkich siedzib, przemyka łagodnie po zmęczonych czołach sennych ludzi, po dolinach się ściele. A ziemia i krzewy, zwierzęta i ludzie czując krótkotrwałość tej dobroczynnej godziny poranka, dziwnie się łączą w objawach otuchy, chęci istnienia i trudu, radości z życia.

O takim dniu i godzinie, w pierwszych dniach lipca wyjeżdżałem z Medyolanu w stronę Genui, ku włoskiej Rivierze. W pociągu było mało obcych podróżnych, ci bowiem zwykli po największej części wstawać późno w uzasadnionem zresztą poczuciu prawa do należytego odespania zapłaconej w hotelu nocy, oraz w zastosowaniu praktycznej zasady, że podróż dla wypoczynku nie powinna być mącona trudami wczesnego wstawania. Za to mnóstwo tych, których trud, obowiązek lub chciwość pędzą wcześnie z łoża za zarobkiem. Ci klną oczywiście na straconą noc, a chłód cudnego poranka lubią i uznają, o ile pozwala przyjemnie drzemać w wagonie na miłym przewiewie. Obraz pociągu zatem wewnątrz idealnie włoski. Dumni ze swoich przodków obywatele Piemontu, troskliwi o to, by obcy podróżny, bawiąc na ich ziemi, nie zapomniał jaką łaską obdarzyły go nieba, że mu wolno za jego głupie pieniądze oglądać cuda przyrody i dawnych wieków tej ziemi — zajmują zwykle w wozie kolejowym po dwa siedzenia: jedno ludzkie zwyczajne, drugie na poduszkach naprzeciw, rozkładając ci pod bokiem niezbyt na ogół kształtne nogi, w kraciastych pończochach i amerykańskich półbucikach. Potem rozpinają się do ostatnich kresów możliwości, puszczają na wiatr kraciaste krawaty jak flagi i drzemią. Zadaniem obcego jest umieszczenie się w przedziale w ten sposób, aby zająć jak najmniej miejsca i o ile możności nie naruszyć spokoju butów swojego *vis à vis*, na siedzeniu rozłożonych. O ile bowiem pod tym względem obcy podróżny jest wymagający, spotyka się ze spojrzeniem pełnem indygnacyi, które mówi: „Co też my biedni na naszej własnej ziemi cierpieć musimy od tych nieznośnych, przeważnie źle wychowanych *forestiérów*“. Ci, którzy nie drzemią, czytają dzienniki, węsząc skwapliwie za skandalikami z ubiegłego dnia i nocy; jestto najważniejszy dział znacznej większości brukowej i krzykliwej prasy włoskiej, ponętna i skwapliwie łowiona codzienna strawa miejskiej „inteligencyi“. Napis umieszczony na wozie, że palić nie wolno, jest normalnie dla podróżującego Włocha przypomnieniem, że ma właśnie przy sobie ulubione *virginio*, od których dymu nawet zawodowi palacze papierosów doznają elektrycznych drgnień w stosie pacierzowym. Powołanie się na napis zabraniający palenia wywołuje uśmiech politowania, a czasem ze strony „dobrze wychowanych“ trafną uwagę, że kto nie może znosić dymu nie powinien właściwie podróżować we Włoszech. Jeszcze gorzej ma się rzecz z platonicznem życzeniem zarządu kolejowego, wyrażonem na licznych tabliczkach, żeby goście nie pluli. Po każdem pociągnięciu z *virginia* widzisz i słyszysz zewsząd czynny protest wolnych obywateli Włoch przeciw takiemu ograniczeniu swobody. I strzeż się podróżniku, abyś nie okazał czasem z tego powodu niezadowolenia; będziesz ironicznie wyśmiany przy równoczesnem powiększeniu dawek. Co do mnie, ratowałem się w takich wypadkach tylko... płuciem, doprowadzonem do takiego roznamiętnienia, że reflektowało ono nawet „gorzej“ wychowanych obywateli apenińskiego buta. Wszystko to jednak na dobre wychodzi turyście, bo wypędza go z dusznych przedziałów na korytarz wozu, do okien. Stanąłem więc przy oknie i w jednej chwili starły się z myśli wszelkie przykre refleksye z powodu ludzi na widok tej ziemi i nieba. Na zachodzie linią nieokreślonej czystości ośnieżone szczyty Alp, kładły międzyziemią a niebem odwieczną granicę, od wschodu, skąd wnet wejść miało słońce, czerniły się łagodne wzgórza, niby ostatnie stopnie potężnej świątyni, w której ołtarzami bogów są *Mnich, Mont Blanc i Jungfrau*. A tuż, wokoło pola złote, łąki kwietne, drzewa potężną zielonością bujne, grające hymnem wielkich świerszczy tak głośnym, że słychać go nawet wśród turkotu kół pociągu i zgrzytu hamulców.

Na tej wspaniałej harfie rozciągają się od wschodu barwne struny; najpierw te najcieńsze, różowe, zaledwie drżące, potem grubsze, srebrzyste, potem złote, jakby pełnemi garściami rzucane; wszystkie zadzierżgnięte o szczyty gór, wszystkie zwite w wielobarwny węzeł, tam w tym jedynym załomie pagórka, skąd najpierw czerwień falą płynie, potem roztopione złoto się sączy.... Milczą struny.... Aż gdy twarz miedziano-złota się ukaże, zda ci się, że słyszysz potężny akord wielkiego hosanna. Weszło słońce!... W takiej chwili niechże błogosławioną będzie samotność, pewność, że nikt pustem słowem nie zerwie ci z oczu tej jak sieć pajęcza cienkiej zasłony, przez którą widzisz żywym i jasnym świat własnych złudzeń. Znika na chwilę poczucie przestrzeni i czasu, daleka przeszłość z przyszłością się łączy, wspomnienie staje się dniem dzisiejszym, nadzieja szczęścia, co przyjść ma — obecną chwilą. A wszystko to znikome, przelotne, trwa tak krótko jak tchnienie; dlatego może takie potężne, niezapomniane. Otóż i dzień w całej krasie świateł i jasności pod niebem bezchmurnem, tylekroć sławionem włoskiem niebem, skąd tyle miłosnych zachwytów falą płynie w gorące serca czarnookich dziewic, pod którem tyle się wykołysało potężnych natchnień nieśmiertelnych mistrzów słowa, którego barwy pełne niezliczonych odcieni dały tło Madonnom tylu mistrzów, ustroiły skrzydła tylu aniołów bożych na niezliczonych płótnach i ścianach świątyń. Niebo godne mistrzów i wielcy mistrze jego godni. Szczęśliwi, że wystarczyło im podnieść głowę, aby się znaleść odrazu w sferze jasnej, równej, do natchnień jak matka dziecię budzącej symfonii świateł i kolorów.



Certosa di Pavia: Jezus umierający, obraz Ambrożego Borgognone (z r. 1490).

Jestem więc pod prawdziwem włoskiem niebem, jak się mówiło i pisało dawniej, czyli na „jasnym brzegu“, jak się mówi i pisze teraz. Nie dziw; postęp wszystko przemienia. Niebo zawsze to samo, choć jak cenny dyament mieniące się barwami, spowszedniało. Natomiast brzegi owej krainy coraz to inne, coraz jaśniejsze od hoteli i pensyonów, no a sławne „kasyna“ na francuskiej Rivierze, aż ślepią oczy, zmysły i serca złocistym blaskiem swej ponętnej treści.

Myśl zwraca się ku żywemu życiu i przed oczyma mkną obrazy, na które się patrzyło przez minione już dni podróży.... Oto szczyt alpejski, na który przebijałem się niedawno wśród śnieżnej zamieci, oto rozkosza po owych wrażeniach jasnem i gorącem słońcem samotna kraina, którą wąska kolejka unosi wędrowca ku uroczej Rivie nad jeziorem Garda, a to jezioro takie błękitne, jakby samo niebo stąd brało barwy dla siebie, po jakichś niewidzialnych promieniach, oto ciche i urocze wybrzeża nad jeziorem Garda, gdzie hotele ze złoconymi gankami witają turystę uprzejmie ale zdaleka, chwaląc się zarazem, że są w „sezonie“ przytułkiem wybranych tego świata. Istotnie co roku błyszczący przepychem, zjeżdżają tu parweniusze różnych krajów i ludów, okraszeni kilku utytułowanymi bankrutami, szukającymi żon z posagiem, i siedząc na owych gankach złoconych patrzą.... na jezioro. Mówią wtedy starzy do swoich żon, których już zdradzać nie mogą, że ten widok budzi w ich duszach wszystkie porywy młodości, co wytworne, ubrylantowane, również już uspokojone damy przyjmują do wiadomości z wytworną pobłażliwością. Młodzi baroneci najczęściej przy księżycu prawią bogatym córeczkom giełdziarzy swoje miłosne zachwyty, których one słuchają porwane urokiem nocy, jeziora i nadzieją tytułu po zamążpójściu.

Na szczęście cudna i potężna natura nie traci nic ze swojego piękna i uroku, choć tyle „ludzi“ ją ogląda, używając dla wyrażenia swoich zachwytów tylu nic nie mówiących przymiotników.... Więc i potężne alpejskie jezioro ani myśli o filistrach na gankach złoconych.... Niby olbrzymia jakaś nimfa urocza legło wśród cudnych gór na wznak, milionem oczu obraca się śmieje za słońcem i rozrzuca figlarnie po brzegach srebrzyste sploty swoich włosów, zasiewa barwne i wonne kwiaty, gwarzy przyjaznym szmerem z tymi, co przyszli, aby naprawdę znaleść tu chwilę spokoju po trudach łamania się z samym sobą i pojednać się z myślą o przemienności rzeczy.

Obraz niknie i oto tuż za nim wysuwa się inny. Wśród rozległej równiny Padu, ponętnej dla człowieka obfitością żniwa, którem bujna gleba pracę siewcy wynagradza, groźnej ponurą, niezwalczoną dotychczas *malaryą*, wznosi się dziś opuszczony już klasztor Kartuzów... *Certosa di Pavia!* Któż o nim nie słyszał, kto nie zachwycał się szczerze i głęboko tem poetycznem dziełem sztuki, ileż stracił ten, co przebiegając górne Włochy klasztor ten minął.... Dziwnie jakoś małym czuje się dzisiejszy człowiek na widok tych mozaik z marmuru i drogich kamieni, nad których ułożeniem pracowało sześć pokoleń jednej i tej samej rodziny rzemieślników-artystów florenckich! Jacyż to byli cierpliwi, spokojni w sobie ludzie, jaka w nich świadomość ciasnego zakresu działania jednego człowieka.... Robotnik-artysta zaczynał wykładać mozaiką jeden ołtarz świątyni; ołtarzy jest kilkanaście. Po trudzie swoim widział odrazu, że praca ta trwać będzie kilka wieków! I wiedział, że imię twórcy prawie że zgaśnie w licznych pracowników szeregu, choć jemu samemu całe zabierze życie.... A przecież trwał i tworzył. Snać w nieznanem już dziś zachwyceniu wiary i nabożeństwa czerpał siłę i przekonanie.

Dziś klasztor pustką stoi, zniesiony przez Józefa II, pozbawiony przez to mojem zdaniem ważnej części potrzebnej koniecznie do całości artystycznego wrażenia. I zdaje mi się, że ani bieg postępowych, nowe siły świata budzących idei nie zostałby wstrzymany, ani chwała liberalnego cesarza niczby nie ucierpiała, gdyby w tej wspaniałej samotni dawnych wieków pozostawiono stróżami mnichów białych ożywiających szmerem częstej modlitwy zadumane ściany. Dziś włoscy „kustodzi“ gwarliwą, niesforną nieraz pogadanką u proga, albo też natrętnem narzucaniem się na przewodników, by chwycić *lira*, obniżają nastrój tych murów.

Kościół powstał dzięki *votum* żony Galeazza Visconti, Katarzyny w 1396 roku, ukończony zupełnie w sto lat potem; wnętrze jego w znacznej części jest czynem artystycznym Ambrożego Borgognone, medyolańczyka, który żył i działał na rubieży 15 i 16 wieku... Ileż jednak idei wielkiego artysty wypowiedzianych na ścianach tej świątyni przepadło na zawsze zniszczonych czasem, nieoględnością ludzi, wybuchami zwierzęcych instynktów niszczenia w latach wojen i zamieszek domowych. To co pozostało mówi do wędrowca żywem słowem szczerego i głębokiego przekonania, potężną świadomością artysty....

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

7 Ciąg dalszy.

— Czy pragnie pan, byśmy sami pozostali? — zapytał. — Obecność osoby trzeciej może być panu nieprzyjemną, jeżeli chce pan się z czemś zwierzyć.

— Ależ nie, nie panie Buvard — odpowiedział żywo młodzieniec. — Pan Rigolo powinien słyszeć to, o czem mówić będę. Za chwilę zrozumie pan, dlaczego nie zawahałem się ani chwili, tylko przyszedłem z całą szczerością porozmawiać z panem.

Mówiąc to, młody człowiek rzucił się na fotel i wdzięcznym ruchem ręki wskazał Buvardowi miejsce.

— Przedewszystkiem — rzekł nieznajomy — muszę się przyznać do rzeczy, którą pan już odgadł; noszę ubranie męskie, choć jestem kobietą — wyznaję to panu dlatego, że nieraz jeszcze będzie pan miał sposobność spotkania mnie w tym ubiorze i nie chcę dłużej trzymać pana w niepewności...

— Odgadliśmy to z Rigolem — odpowiedział Buvard.

— Domyślałam się tego. Jesteście zanadto sprytni, żeby was podejść można. Zresztą to przebranie nie miało na celu wyprowadzenia was w pole.

— A więc jakiż jest jego cel?

— Gdyście panowie przybyli na ulicę Gabryela — spotkaliście zapewne dwóch łotrów, którzy was ubiegli. Są to dwaj znani nędznicy. Jeden nazywa się Brzuchacz, — drugi „Stalowe Serce“.

— Pani ich zna?

— Wiem o wielu rzeczach, panie Buvard, ale nie mogę wszystkich wyznać panu, bo gdybym dziś powiedziała panu wiele ciekawych rzeczy, nadzieja, która utrzymuje mnie przy życiu, byłaby na zawsze stracona.

— Więc po co właściwie przyszłaś tu pani? Kto panią popchnął do tego kroku?

— Oto prawdziwe pytanie! Ale odpowiedz mi pan pierwszy, tylko bez blagi, panie Buvard, to wspólny nasz intares. Coś pan robił dzisiejszej nocy koło willi Senneterre? Waha się pan? Jak się panu podoba... ale ja mogę za pana odpowiedzieć! Byliście dzisiaj na ulicy Gabryela, bo dotąd morderstwo z ulicy Monge nie daje wam spokoju i sądzicie, że ma ono pewną łączność z mieszkańcami willi Senneterre.

Buvard milczał, patrząc ze zdziwieniem i osłupieniem na młodą kobietę.

— Czy zgadłam? — zapytała z uśmiechem ironicznym. Ale nagle twarz się jej zmieniła, uśmiech zamarł na drżących wargach, błyskawica przemknęła w jej oczach i gwałtownym ruchem zerwała się z miejsca.

ROZDZIAŁ V.

Lea.

— Ah! i po co to wszystko — zawołała dziko. — Nie dziwcie się! Powzięłam energiczne postanowienie, idę do celu upragnionego, który stać się musi rzeczywistością... i od kilku tygodni drżę na myśl, że popsuć mi możecie wszystko, zniszczyć usiłowania, trudy i plan tak misternie obmyślany!

Buvard i Rigolo patrzeli zdziwieni, zapytując się, kto jest ta dziwna młoda kobieta i jaka straszna tajemnica ukrywa się w jej słowach.

— Ah! nie należę do policyi — ciągnęła dalej wzburzona — ale znane mi są wasze drobiazgowe usiłowania, by schwycić tajemnicę... Wiem, kto popełnił zbrodnię na ulicy Monge... a prócz tego mogę wam wyjawić również, jeżeli zechcę, nazwisko nędznika, który powinien był być skazanym w miejsce hrabiego Torella!

Buvard nie mógł już zapanować nad sobą — zapominając o zwykłej ostrożności i rozwadze, uchwycił żywo rękę młodej kobiety.

— Oh! pani nam wyjawi to nazwisko — zawołał głosem stanowczym, rozkazującym.

Młoda kobieta wysunęła zimną rękę z uścisku ajenta i obrzuciła go wyniosłem spojrzeniem.

— Powiem panu to, co uznam za stosowne i gdy nadejdzie właściwa godzina — odpowiedziała wolno i dobitnie. Chwila jest krytyczna, jedna nieostrożność może wszystko zniszczyć! Moje postępowanie zależnem jest od pańskiego.

— Więc cóż pani chcesz, abym uczynił? — zapytał Buvard.

— Uczynisz pan, co zechcesz, ale jeżeli pan chce się dowiedzieć prawdy, której odkrycie leży tylko w moich rękach, musisz pan przyjąć ostre warunki, które panu przedstawię.

— Jakież one są?

— Od dnia dzisiejszego pozostawi mi pan zupełną swobodę w działaniu, zostawisz pan willę Senneterre w spokoju i zaniechasz wszelkich dochodzeń i śledztw.

— To, czego pani żąda ode mnie, jest niemożliwe. Zresztą jesteśmy sami od dzisiejszej nocy na śladzie, który nas doprowadzi do wyjaśnienia tej tajemnicy.

Młoda kobieta uśmiechnęła się pogardliwie i wzruszyła ramionami.

— Jak się panom podoba — rzekła zabierając się do wyjścia. — Nie mam już więcej nic do powiedzenia i pozwólcie panowie, bym odeszła. Pomyślcie jednak nad tem, coście teraz usłyszeli... idziecie niebezpieczną drogą, inni ludzie czuwają, nie znacie ich, a ci trzymają w swoich rękach wasze życie i moje. Przy tych słowach skłoniła się Buvardowi i skierowała ku drzwiom.

— A co? — zapytał Rigolo, który nie mógł jeszcze oprzytomnieć.

Buvard spojrzeniem nakazał mu milczenie i pospieszył odprowadzić do wyjścia tę szczególną młodą kobietę. Ale zaledwie drzwi się za nią zamknęły i odgłos jej kroków przebrzmiał na schodach, gdy Rigolo podskoczył do Buvarda. Nie mógł już dłużej wytrzymać w spokoju.

— Ależ panie! jabym jej na miejscu pana stąd nie wypuścił — zawołał.

— Kazałbyś ją aresztować?

— Pewnie, żebym się długo nie namyślał.

Buvard uśmiechnął się lekko.

— Zostawmy ją w spokoju — rzekł potrząsając głową. Ta kobieta będzie nam użyteczniejszą pozostawiona na wolności... Zresztą nie mamy prawa aresztować jej!... A przytem... widzisz, my psujemy jej plany... ona tu powróci, bądź spokojny.

— A to szczególna historya!

— I mnie się dosyć podoba! Będziemy mieli czem się pochwalić, jeżeli wyjdziemy z niej cało!

— Trzeba nam się brać do dzieła.

— Masz słuszność, mój przyjacielu; trzeba nam się uzbroić dostatecznie do walki, a przedewszystkiem być ostrożnym i nie palnąć głupstwa! Ty udasz się w swoją, a ja w swoją stronę i pozwolę sobie powiedzieć, że cała policya psu na buty się zdała, jeżeli wkrótce nie wyłapiemy tych ptaszków. Są dwie rzeczy, które trzeba jaknajprędzej załatwić. Pierwsze, kto jest tem indywiduum, które widziałeś na koźle tej karety, a drugie zaś, że trzeba koniecznie starać się zbadać dokładnie willę Senneterre.

— Dobrze! Jutro zabieram się od świtu do roboty! — odpowiedział Rigolo. — Ah! do szatana! — szepnął — oddałbym wiele, aby posiadać tajemnicę tej kobietki. Czy pan uważałeś na nią przed chwilą, jak się unosiła? nozdrza jej latały, jak u konia, piąstki zaciskały się ze złości, a oczy miała pełne ognia! Oh! ten, który będzie kochany przez tę kobietę, nie będzie już niczego więcej wymagał od życia!

Buvard zadrżał, słysząc te słowa i spojrzenie jego głębokie spoczęło na towarzyszu.

— Mądrość mówi przez twoje usta, mój Rigolo — rzekł zamyślony. — Jeżeli chcemy światła w sprawie ciemnej i tajemniczej — mówię wam niezmiennie — „szukajcie kobiety“. Alu tutaj zdaje się, że jest przeciwnie, ponieważ mamy kobietę, należy szukać mężczyzny!

— Jakże to? pan sądzi...

— Sądzę, że miałeś słuszność przed chwilą.

Rigolo milczał. Buvard ciągnął dalej rozradowany.

— Im więcej o tem myślę, tem więcej rzecz wydaje mi się jasną. Kobieta w życiu, jakie jej stworzyło dzisiejsze społeczeństwo, ma bardzo ograniczoną rolę. Albo jest matką, albo kochanką! Jej serce rzadko kiedy pragnie innego uczucia, umysł innego celu! Poza tem wszystko jest jej obojętnem! Wobec tych uczuć zanika u niej poczucie ostrożności, poczucie konwenansów i prawa, żyje tylko tą namiętnością, zamknięta w sobie i raz pchnięta na tę drogę fatalną — zdolna jest do największych ofiar, poświęceń i najniemożliwszych podstępów! Mamy moc takich wypadków w kryminalistyce!

— A więc według pana... ta kobieta!...

— Szukajmy, a znajdziemy...

Rigolo poruszył nosem i uśmiech chytry przemknął po jego twarzy.

— Stanie się, jak pan żąda — odpowiedział — i od jutra, jak nam pan mówił, uzbroimy się do walki.

Rigolo zabierał się do odejścia. Buvard go zatrzymał.

— Jeszcze jedno słówko — rzekł żywo. — Mówiłeś mi, zdaje się, że młody Jerzy Beraldi wychodził z willi Senneterre, gdyś go widział po raz pierwszy?

— Rzeczywiście!

— I czy powrócił tam od powrotu swego z Cabrol?

— Nie sądzę.

— Kiedy się masz z nim widzieć?

— Kiedy zechcę... umówiliśmy się, że na dany znak przezemnie, przyjmie mnie zawsze.

— A więc będziesz się z nim widział; on musi wiele wiedzieć o willi Senneterre, będzie musiał nam dać wyjaśnienia.

— Zobaczę go jutro. Czy to już wszystko? Mogę już odejść?

— Tak, Rigolo, możesz już odejść. Idź, udaj się na spoczynek, który ci się słusznie należy. Śpij spokojnie; myślę, że jesteśmy na dobrej drodze i że za kilka dni morderstwo z ulicy Monge nie będzie już dla nikogo niezgłębioną tajemnicą.

Rigolo odszedł, a i Buvard sam wkrótce położył się spać.

Młoda kobieta, pożegnawszy ajentów, pospieszyła do karety, która czekała na nią na ulicy i otworzywszy drzwiczki, zawołała głosem przytłumionym:

— Na ulicę Gabryela!

Rzuciła się na poduszki powozu wzburzona i wyczerpana, podczas gdy konie unosiły ją szybko we wskazanym kierunku. W kilkanaście minut później powóz zatrzymał się na ulicy Gabryela i młoda kobieta znikła w ciemnej alei, wysadzonej kasztanami. Dzień zaczął świtać... ptaki rozbudzone trzepotały się na gałęziach mokrych od rosy nocnej i wykrzykiwały radośnie, witając różową zorzę, która rozświetlała już widnokrąg. Młoda kobieta nie zwracała na nic uwagi. Pierś jej podnosiła się nerwowym oddechem, wargi jej drżały, a oczy zamglone, bez wyrazu, nie zdawały się nic spostrzegać w koło. Szła spiesznym krokiem, który zdradzał niecierpliwość i gorączkę i po chwili doszła do pawilonu na Polach Elizejskich. Pawilon ten, otoczony gęstemi drzewami, składał się z salonu, biblioteki i buduaru. Przeszła szybko salon, bibliotekę, weszła do buduaru i zamknęła gwałtownie drzwi za sobą, poczem z uczuciem czysto kobiecej ciekawości podbiegła do dużego weneckiego lustra, zawieszonego nad szafą. Ale zaraz cofnęła się przerażona. Nie widziała się nigdy tak zmienioną. Łkanie podniosło jej pierś, rękami uchwyciła czoło i białemi zębami zagryzła wargi do krwi.

— To straszne! to straszne — szeptała zdławionym głosem. — Staję się teraz obrzydliwą! Policzki się zapadły, oko blask straciło! usta są blade! Ah! ta męka musi się skończyć! Za długo już cierpię! i byłoby podłością z mojej strony namyślać się dłużej! Boże! Boże! zlituj się nademną!

Poszła, upadając ze zmęczenia, bezsilna, zrozpaczona, usiadła przy małym stoliczku i w splecionych dłoniach ukryła głowę, ruchem zupełnej niemocy. Ale trwało to ledwie minutę, dreszcz przebiegł jej ciało i podniosła nagle głowę. Na środku stolika, na widocznem miejscu leżał list w ładnej angielskiej kopercie, na której widniał napis wyraźny: „Lea“. Młoda kobieta stała chwilę niepewna, jakby wahając się, poczem uchwyciła kopertę, rozdarła ją i zaczęła czytać.

List musiał zawierać tylko kilka słów, gdyż zaledwie rzuciła nań okiem, zmięła go nerwowym ruchem i rzuciła na stolik z uśmiechem pogardy.

— Co za nędza! — szepnęła — czegóż oczekiwać mogę od życia, jakie mi ten człowiek zgotował? On mnie kocha!... śmie mi to pisać! O hańbo! A dlaczegóż to nie on! Mój Boże!... A jednak takby być mogło!... życie moje byłoby jednym snem rozkosznym!

Rzuciła się na sofę w spazmie szalonej rozpaczy, zakrywając twarz białemi długiemi rękami.

— Być kochaną! — szeptała, jakby upajając się własnemi myślami. Kochaną przez niego! przez niego!... co za życie pełne wrażeń, wieczność rozkoszy i szczęścia!... Poza tem nic!... nic!... Ah! ja tej miłości tak pragnę, tej miłości tak mi potrzeba, że nie cofnę się przed niczem... nawet przed zbrodnią!... Czy słyszysz to? Moje serce do ciebie należy! do ciebie!

I przyciskając usta do gładkiej i lśniące skóry swej ręki wyszeptała jakieś niezrozumiałe imię! W chwili tej, napływ gorącej krwi zabarwił jej

twarz zbladłą, ogień zapłonął w jej posępnych, czarnych oczach. Była teraz piękna, tą straszną porywającą pięknością skończonej, dojrzałej kobiety — co tem bardziej uwydatniały ożywione młodzieńczym ogniem rysy jej twarzy. Pozostała tak chwilę zatopiona w marzeniu, które porywało jej całą duszę, nieczuła na wszystko, co się koło niej dziać mogło, przepełniona szalonem pragnieniem, uniesiona myślą w świat obcy, pełny gwałtownych wzruszeń i cudnych widzeń!

Dzień już nastał; park zapełnił się śpiewem ptaków i wonią kwiatów. Życie budziło się na nowo. Kobieta wstała, przeszła wolno przez pokój, poczem zaczęła się rozbierać, by zmienić ubranie. Zabrało to dosyć czasu. Napowrót stała się kobietą i z pewną kokieteryą i rozmiłowaniem w własnej osobie — zaczęła się przystrajać. Zrzuciła z siebie przezroczysty penuiar z jasnego batystu, który zarzuciła przed chwilą na siebie i stanęła przed lustrem w bogactwie swych wdzięcznych ramion, którym padający promień słońca nadawał ton żywy i ciepły. Uśmiechnęła się do swojego obrazu. Czuła, że jest naprawdę piękna; wiara wracała w nią i wywołała na jej twarzy wyraz pogody i zadowolenia. Nagle zadrżała i obróciła szybko głowę. Zdawało jej się, że słyszy szelest kroków na wysypanej żwirem ścieżce, prowadzącej do pawilonu. Skoczyła do okna; ale w tej samej chwili drzwi pawilonu otworzyły się i ktoś wszedł do salonu.

— Czy to pan, panie hrabio? — zapytała głosem słodkim i pieszczotliwym.

— Tak to ja — moje dziecko — odpowiedział głos jakiś. Czy chcesz mnie przyjąć?

— Za chwilkę będę służyć — proszę usiąść i zaczekać.

Osobą, która odwiedzała Leę, był hrabia Senneterre. Po chwili Lea zupełnie ubrana witała hrabiego w salonie. Hrabia powstał na jej widok, przyciągnął ją delikatnie ku sobie i wycisnął długi pocałunek na jej białem czole.

— Nie przeszkadzam ci? — zapytał nieśmiało, nie śmiejąc prawie patrzeć na nią.

— Ależ wcale nie, panie hrabio — odpowiedziała Lea — owszem, czuję się bardzo zadowoloną odwiedzinami pana, bo mam z panem do pomówienia. Byłabym nawet udała się do pana... ale tak będzie lepiej...

Hrabia zbladł lekko i wzrok przenikliwy utopił w twarzy dziewczyny, jak gdyby chciał odgadnąć jej najskrytsze myśli.

ROZDZIAŁ IV.

Hrabia Senneterre.

Był to człowiek wysoki, siwawy, o rysach twarzy nacechowanych stanowczością i energią. W tej chwili na twarzy jego widniało wahanie i pewne pomięszanie, pod którem krył się głęboki smutek. Mógł mieć lat 55 do 60. Lea wskazała krzesło hrabiemu i sama usiadła naprzeciw niego. Nastała chwila milczenia przykrego dla hrabiego. Tysiąc różnorodnych pytań cisnęło mu się na usta, oczy jego unikały spojrzenia młodej kobiety. Jednakże po chwili siłą woli przemógł się i po twarzy jego przemknęło pewne postanowienie. Uchwycił rękę Ley i zatrzymał ją w konwulsyjnym uścisku.

— Drogie dziecko — rzekł drżącym głosem — chciałem bardzo widzieć się z tobą i czekałem z śmiertelną niecierpliwością na nadarzającą się sposobność! Miałem nadzieję, że ujrzę cię wczoraj, całą noc czekałem na ciebie i dziś rano wymknąłem się cichaczem z pokoju mojego i przyszedłem tutaj pewny, że się schroniłaś tutaj do tego pawilonu. Gdybyś ty wiedziała, jakie cierpienia mnie dręczą...

— Ciebie, panie hrabio! — rzekła ironicznie młoda kobieta.

— Nie drwij ze mnie, wiesz, że cierpię. Nie staraj się uniknąć tego wytłómaczenia. Jestem bardzo niespokojny... wiesz o tem... a ty od wielu tygodni i miesięcy zdajesz się tego nie spostrzegać...

— Czy nie jestem zawsze tą samą? Czy zmieniłam się od dnia fatalnego, w którym nadużywszy mojej samotności i słabości...

— Zamilcz!

— I czemu chcesz pan, abym zapomniała o tej hańbie?

— Czy nie uczyniłem wszystkiego, aby błąd ten naprawić... przez te dwa lata, czy nie prosiłem cię po sto razy na kolanach, byś zechciała być towarzyszką człowieka, który kocha cię jak ojciec, straciwszy nadzieję, że pokochasz go jak kochanka!

— Nigdy!

O! to ty jesteś okrutna!... skoro nie pozwalasz, bym ci oddał swoje życie... dlaczego odmawiasz mi tej radości?...

Młoda kobieta uśmiechnęła się gorzko i wzrok jak stal błyszczący zagłębiła w oczach hrabiego.

— Powiedziałam, na jakich warunkach zgodzę się zostać pańską żoną i do tej pory nie przystałeś na ten warunek.

— Chcesz mówić o Helenie?

— Tak — o pańskiej siostrzenicy, Helenie.

— Biedne dziecko!



Stanęła przed lustrem w bogactwie swych wdzięcznych ramion.

— Żałujesz jej?

— Cóż ona ci winna? Czy nie jest słodka, kochająca?... Czy nie obdarza cię przyjaźnią tak głęboką, której nawet od siostry rodzonej nie mógłbyś oczekiwać... a czy ze swojej strony nie otaczałem cię wszystkiem, o czem mogło marzyć dziecko w twojem wieku? Posiadasz takie same kosztowności, nosisz te same suknie, co siostrzenica hrabiego Senneterre, a od ciebie jedynie zależy zachować dla siebie to nazwisko. Jeżeli nie jesteś piękniejszą od niej, jesteś napewno więcej podziwianą! Czegóż więcej wymagasz jeszcze! Powiedz! dlaczego milczysz kiedy wiesz, że mnie to milczenie zabija! Dlaczego nie chcesz mi otworzyć swego serca i zwierzyć się z wszystkich twoich pragnień, kaprysów, które chciałbym tak gorąco zadowolnić! Nie znasz jeszcze mojej miłości! Wiesz jakie życie moje teraz jest okropne, jeżeli więc przyjmuję je bez szemrania, jeżeli zdołałem zagłuszyć straszne wyrzuty, którymi przepełniona jest przeszłość i teraźniejszość moja — to jedynie dla tego, że chciałem znaleść przy twoim boku zapomnienie, którego napróżno gdzieindziej szukałem! Ah! gdybyś się zlitować chciała!... ale nie.. odpychasz mnie.. rzucasz mnie na pastwę samotności pełnej okropnych widm i wierzaj mi, bywają takie okropne chwile, w których ze spokojem myśleć mogę o samobójstwie.

Hrabia wyrzekł to głosem tak głębokim i poważnym, że zaniepokoił młodą kobietę. Lea nie pragnęła samobójstwa hrabiego! a przedewszystkiem chciała przedtem osiągnąć cel upragniony.

— Jesteś pan jeszcze wielkiem dzieckiem — rzekła pieszczotliwie, siadając u nóg jego na niskim tabureciku. — Nie pojmujesz kaprysów takiej jak ja kobiety! Nie jestem kobietą jak tysiące innych — nie możesz pan zaprzeczyć temu, bo widziałeś mnie rosnącą pod swojem okiem i opieką. Mój ojciec był pańskim plenipotentem. Wtedy skromne to stanowisko wystarczało mi zupełnie. Ale pamięta pan, co się później stało. Mój ojciec raz nagle lat temu dwa znikł i pozostawił mnie samą, nie troszcząc się o moją przyszłość. Wierzył zapewne w pańską szlachetność, wspaniałomyślne serce i rzeczywiście otoczyłeś mnie najczulszą miłością i staraniem. Byłam towarzyszką Heleny, wkrótce stałam się jej siostrą.

— O! ona nigdy nie przestała cię kochać!

— Wiem o tem!

— I nigdy, przyznaj sama, nie wyrzekła jakiegoś nierozważnego słowa, któreby cię dotknąć mogło lub obudzić przykre wspomnienia.

Cień przemknął po czole Lei, a spojrzenie stało się zimnem i twardem.

— Masz pan słuszność — rzekła po chwili milczenia — tak, Helena jest dobra, kochająca i z przedziwną delikatnością stara się o to, bym mogła zapomnieć o przeszłości. Ale czy mam panu wszystko powiedzieć, panu, który wymaga odemnie odpowiedzi? A więc, serce moje wzdraga się na każdą jej pieszczotę — przywiązanie jej męczy mnie — i duma moja cierpi nad tem, widząc ją taką troskliwą, kochającą i często — o to okropne, nieprawdaż? — przychodzi mi myśl, że męki te ustać mogą tylko z moją lub też jej śmiercią!

— Lea! — zawołał hrabia przestraszony.

Młoda kobieta potrząsnęła głową ruchem dzikim, a w oczach jej mignęła taka nienawiść, że nieszczęśliwy starzec zbladł jak chusta, pod wrażeniem tego okropnego odkrycia.

— Ah! pan wie kim jestem! — ciągnęła dalej młoda kobieta z twarzą wzburzoną. — Wiadomo panu, jaka fatalność towarzyszyła mojemu urodzeniu, że krew i hańba spadły na moją kołyskę. Nie wymagaj więc pan odemnie uczuć, którym ulegają inne kobiety, ale lękaj się, bym sama nie wspomniała o przeszłości i nie rozkazała ci o niej pamiętać.

— Ale cóż ty chcesz? czego żądasz — mów — szepnął hrabia, który w ostatnich słowach Lei widział straszną groźbę dla siebie.

— Ah! czy ja sama zdaję sobie sprawę z moich pragnień — odpowiedziała młoda kobieta. — Czy znam siebie? Czy uczucia i wrażenia nie przechodzą przez moją duszę, niestałe, gwałtowne i nieobliczalne — czasem dobre, niekiedy najgorsze! niekiedy wywołując miłość głęboką i przywiązanie najwyższe, to znowu zaślepiając mnie nienawiścią i zemstą. Bóg świadkiem jednak, że oddałabym każdą kroplę krwi, życie całe, by spotkać duszę, z którą moja mogłaby się na zawsze połączyć! Ale któżby się ośmielił kochać wydziedziczoną istotę, jaką jestem! któżby chciał obmyć plamę niezatartą, ciążącą na mojem urodzeniu.

— Gdybyś chciała tylko — rzekł nieśmiało hrabia.

Dreszcz przebiegł ciało kobiety i uśmiech pojawił się na jej ustach. Gorączkowym ruchem otarła czoło, na które wystąpiły krople zimnego potu i zdawała się uspokajać powoli.

— Kto wie — rzekła z goryczą — może kiedyś zaszczytem będzie dla nas połączenie naszej wspólnej hańby, ale przedtem muszę dokonać ostatniego wysiłku.

— Jaki jest twój zamiar?

— Powiem to panu.

— Cóż chcesz uczynić?

Lea wstała. (C. d. n.)

Felicyan Szopski.

W ruchu muzycznym współczesnej doby, kiedy na horyzoncie muzycznym ukazują się coraz to świetniejsze gwiazdy, kiedy nerwowość żywiących się i karmiących się ruchem artystycznym, pożąda ze wzrastającą niecierpliwością coraz to nowych wrażeń, zaiste trudną i nie do pozazdroszczenia jest dola tych dusz artystycznych, których pracę twórczą, w jej rozwoju i w jej objawach, niejednokrotnie jak błyskawica się rodzących, jak błyskawica świetnych, lecz także jak błyskawica trudnych do zanotowania, powstrzymuje walka o „panem quotidianum“, zmuszając artystę do poświęcenia się.... pedagogii. Jeżeli wogóle jakie zajęcie, to pedagogię muzyczną można nazwać „zawodem“; przynosi bowiem tyle zawodów. jak żaden inny.

Jednego z tych sumiennych pracowników w zawodzie muzyczno-pedagogicznym, i to jednego z najwybitniejszych, traci krakowskie konserwatoryum muzyczne w osobie p. Felicyana Szopskiego, dotąd profesora gry fortepianowej tudzież nauki harmonii, znanego zaszczytnie referenta muzycznego „Czasu“, tudzież kompozytora wielu, w najszerszych kołach melomanów słusznie wziętem się cieszących, utworów fortepianowych, tudzież pieśni. P. Szopski obejmuje zaszczytne stanowisko profesora gry fortepianowej w warszawskim istytucie muzycznym, pozostającym pod kierownictwem znakomitego pedagoga dyr. Domaniewskiego.

Prof. F. Szopski jest dzieckiem Krakowa. Tu jako uczeń gimnazyalny, improwizując na fortepianie, roił i marzył o sztuce tudzież o świetnej karyerze artysty, tu ukończywszy gimnazyum zapisuje się, idąc za wolą rodziców, na uniwersytet, tu wreszcie zbrojny we wiedzę i talent pracuje jako muzyk, artysta i pedagog. Studyowanie pandektów i formuł na wydziale prawniczym nie było sympatycznem zajęciem dla artystycznie usposobionego młodzieńca, który wolał uczęszczać na historyę sztuki i literatury na wydziale filozoficznym; to też po półtorarocznem słuchaniu prawa przenosi się na wydział filozoficzny i oddaje się z zapałem studyom muzycznym pod światłem kierownictwem dyr. Władysława Żeleńskiego, tudzież prof. Domaniewskiego. Otrzymawszy dyplom z konserwatoryum, udaje się Szopski na dalsze studya do Berlina, gdzie po świetnie złożonym egzaminie otrzymuje miejsce w cesarskiej akademii muzycznej. Rozwlekły sposób nauczania w niej nie przemawia młodemu, żądnemu wiedzy entuzyaście, który studyując u mistrzów berlińskich grę fortepianową, szuka za poradą Kazimierza Hoffmana wzmocnienia swej wiedzy kompozytorskiej u słynnego teoretyka prof. Urbana. Uzbrojony w wiedzę, pełen najświetniejszych rojeń, nadziei i planów artystycznych, powraca młody muzyk do rodzinnego miasta, pragnąc w jego dyletancką atmosferę tchnąć świeży powiew sztuki, rozruszać i sprowadzić bieg spraw muzycznych na nowe tory. Wpierw jednak zmierzyć się musiał artysta z twardą koniecznością życiową, pracą na chleb i objąć stanowisko profesora w krakowskiem konserwatoryum. Ciężka, wyczerpująca praca wytrąca ledwie że ujęte kompozytorskie pióro z dłoni artyście nie przywykłemu do trudów i żmudy pedagogicznego zawodu. Pogodziwszy się jednak z losem i skupiwszy się w sobie, zaczął Szopski tworzyć pieśni i kompozycye fortepianowe. Tak powstały: „Zawód“ do słów Tetmajera, „Choć pól i łąk“ do słów Asnyka, „Preludya“ do słów Tetmajera, „Idzie na pola“, „W wieczorną ciszę“, „Pomnij tam ciche“, „Barkarolla“ i w. i. Szopski tworzy nadto kompozycye chóralne, bierze pierwszą nagrodę za prześliczne, jak z jednej bryły szlachetnego metalu ulane, „Hasło“ dla krakowskiego chóru akademickiego i drugą pierwszą nagrodę na innym konkursie za kompozycyę na chór męski do słów Tetmajera. Czyniąc zadość prośbom Rydla i Pawlikowskiego, wówczas dyrektora krakowskiego teatru, tworzy Szopski wspaniałą illustracyę muzyczną do „Zaczarowanego Koła“ Rydla, a nadto pisze szereg ilustracyj dla sceny krakowskiej. Do tego przybywa jeszcze i praca dziennikarsko-literacka, stanowisko referenta muzycznego „Czasu“. W takiej pracy schodzą artyście lata, w ciągu których powstaje nowa serya prześlicznych utworów fortepianowych, z których układy pieśni ludowych zajęły naczelne miejsce, rozchodząc się w setkach egzemplarzy. Obecnie pracuje p. Szopski nad operą, której treść osnuł na temacie Mickiewiczowskich „Lilij“.



Felicyan Szopski.

Zaiste silny to organizm i silny intelekt, skoro nie dał się zgnębić pracą zawodu pedagogicznego. Nie zawsze był on dlań jednak zawodnym, skoro opuszczając rodzinne miasto, z którym był związanym wspomnieniami młodości górnej i pracy twórczej i najpiękniejszemi chwilami życia pozatwórczego, unosi z sobą Szopski hojnie uposażoną tekę utworów i szkiców, tudzież pomysłów do nowych dzieł, a przedewszystkiem pamięć wytrawnego pedagoga, którego pracy i pieczy zawdzięcza wiele talentów swój rozwój i lot.

Profesorowi Szopskiemu, który uwozi nadto miłe wspomnienie dobrego kolegi i towarzysza, życzymy powodzenia na nowem i tak zaszczytnem stanowisku.

Z lwowskiego bruku.

(Nasze powody do smutku i nasze powody do wesołości. — Skutki wiadomości o zbliżającej się cholerze. — Jeszcze o wystawie hygienicznej. — Jeszcze »Wesoła wdówka«. — Dobroczynne pawilony i ich rozmieszczenie. — Mój projekt o powszechnem głosowaniu. — Spór o galeryę miejską, a moje stanowisko. — Wiadomość z bruku w dziewięciu dziennikach).

Mamy wiele powodów do smutku i jeszcze więcej powodów do radości. Smuci nas przedewszystkiem wiadomość, że już za bramą jest cholera i idzie prosto do Galicyi, a specyalnie do Lwowa, gdzie przyjmiemy ją z otwartemi ramionami i gdzie czuć się będzie, jak u siebie w domu. Wiadomość ta wywarła we Lwowie wielkie wrażenie i wywołała mały przewrót w mieście. Wrócił prezydent Ciuchciński i kazał załatać wszystkie dziury w mieście, dyrektor Kasy oszczędności ustąpił, p. Kurkowski, właściciel biura dla transportu nieboszczyków, podwyższył cenę jazdy na tamten świat, cyrk zdecydował się nie przyjechać do Lwowa i uciekł z Galicyi, stróże zaczęli zamiatać podwórza i wyrzucają śmiecie na ulicę, naród wystąpił z Eleuteryi i wrócił do napojów alkoholicznych, a kilkuset ludzi umarło ze strachu na różne choroby, byle nie umrzeć na cholerę.

Dopiero niedawno zamknięta wystawa hygieniczna, jakby przewidując zbliżającą się epidemię, przygotowała nas trochę na tę klęskę, pokazując i pouczając, jak wygląda bakcyl choleryczny, co należy czynić, aby zachorować na tę epidemię, jak należy umierać na nią i jak się kazać pochować hygienicznie. Resztę zrobił magistrat, który zakupił jednego dezynfektora, ażeby cholerę nastraszyć.

Natomiast mamy wiele wesołych rzeczy, które przepełniają nasze serca radością. Naprzód wróciła operetka i gra już drugi tydzień „Wesołą wdówkę“, a afisz zapowiada na przyszły tydzień i wszystkie następne tygodnie „Wesołą wdówkę“. Repertuaru na przyszłą zimę i wiosnę jeszcze nie mamy, ale należy się spodziewać, że i w zimie i na wiosnę nie zejdzie jeszcze z repertuaru „Wesoła wdówka“ zwłaszcza, że dyrekcya ma zamiar sprawić p. Solnickiemu nowe spodnie, z powodu że dotychczasowe są już bardzo przetańczone.

Drugą wesołą rzeczą jest postanowienie lwowskiego magistratu, aby wystawić nowe cztery pawilony dobroczynne w czterech najważniejszych punktach miasta. Co do tych punktów, to jeszcze się nie zdecydowano dokładnie, ale wybrano specyalną komisyę, któraby odbyła kilka spacerów po mieście i kilka posiedzeń i zastanowiła się nad tem, w których miejscach mają powstać owe pawilony, aby mogły oddawać należyte przysługi i odpowiadać potrzebom mieszkańców. Mojem zdaniem czterech członków nie wystarcza do takiej komisyi, a wogóle nie da się taka sprawa obmyśleć i załatwić przez jakąś komisyę. Tu ma decydować ogół obywateli, o swoich potrzebach, gdzie ma mieć swoją wygodę, dlatego należy nad tą sprawą głosować. Głosowanie ma być równe, bezpośrednie, powszechne i tajne, a prawo głosowania ma przysługiwać zarówno mężczyznom, jak i kobietom, bo tu i ich potrzeby mają być uwzględnione i nie można żądać, aby o tem decydowali wyłącznie mężczyźni. Do skrutynium należy dopiero powołać członków owej komisyi pawilonowej i dopiero wynik głosowania niech decyduje o miejscach, w których mają stanąć tak bardzo dobroczynne instytucye. Bo jak może sama komisya wiedzieć, gdzie komu wypadnie korzystać z magistrackiej dobroczynności, lub gdzie kogo zaskoczy wypadek a nawet nieszczęście? Proszę także niezapominać, że nadchodzi cholera i sezon owocowy, a w takich czasach nie wolno bagatelizować najważniejszych potrzeb mieszkańców.

Jestto nowina wesoła, że wogóle magistrat uznał nareszcie potrzebę założenia a raczej wystawienia tych zakładów i przyszedł do przekonania, że dotychczasowe nie wystarczają wstrzymującym ciągle wymaganiom mieszkańców stolicy. Przejezdni i turyści łapali się nieraz za głowę i poprostu zrozumieć nie mogli, co robi Lwów w tym względzie, jeśli się znajdzie w nagłym kłopocie.

Teraz już będzie lepiej. Cieszę się szczerze, że nareszcie raz coś mogłem wypowiedzieć na chwałę naszej magistratury gminnej i czekam z niecierpliwością na dalsze dobre zarządzenia.

O galeryę miejską toczy się właśnie spór na papierze, a ja, jako człek sprawiedliwy, stoję na uboczu, aż któryś z przeciwników nie legnie, lub nie nastąpi zawieszenie gęsich ogonów. W każdym razie jestto bój niekrwawy, bo leje się tylko atrament i słychać tylko chrzęst piór stalowych lub ogonów gęsich.

Poza tem prawie nic nowego prócz kilku drobnych, nic nie znaczących wiadomości brukowych, jak kradzież końskich ogonów, wybicie sztucznych zębów w złotej oprawie, polemika dzienników o idee i prenumeratorów, zderzenie wozu z tramwajem, pożar słomy i jeszcze inne takie lub podobne „nice“, które składają się na treść aż dziewięciu dzienników lwowskich. *Kl.*

Kącik humorystyczny.

Dobre życzenie.

Skazanemu na śmierć, pozwalają wybrać sobie rodzaj śmierci.

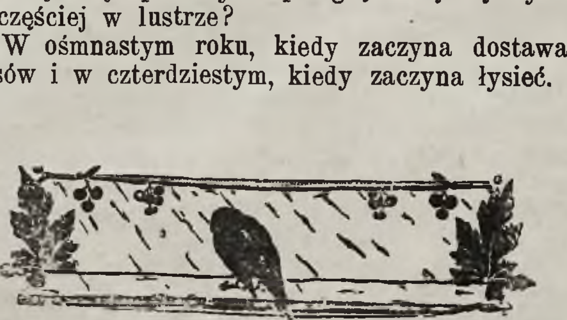
— Pozwólcie mi umrzeć na uwiąd starczy — rzecze z rezygnacyą delikwent.

* * *

Dwie epoki.

W jakiej epoce życia przegląda się mężczyzna najczęściej w lustrze?

W ośmnastym roku, kiedy zaczyna dostawać wąsów i w czterdziestym, kiedy zaczyna łysieć.



Z TYGODNIA

Słomiani wdowcy, cieszcie się! Oto powracają z badów i letnisk wasze cenniejsze połowy. Powracają wykąpane, wywietrzone, odświeżone, opalone, wytłuściałe i... tęskniące. Po długiej, paromiesięcznej przerwie rozpoczniecie nową edycyę miesiąca miodowego. Wprawdzie będzie on już smakował jak potrawa odegrzana, nieco przydymiona, ale i taki lepszy niż żaden. Bądź co bądź będzie czułe powitanie, uścisk serdeczniejszy niż w dzień powszedni; będzie o czem mówić, boć obie strony spowiadać się będą ze swych przygód i wrażeń; będą z początku nieco lepsze obiady, bo magnifika zechce przekonać swego dozgonnika, że kuchni domowej nie zastąpi żadna restauracya; pan mąż będzie wcześniej wracał do domu, a może nawet na kilka dni zapomni o handelku i resursie. I tak dalej — i tak dalej. Drobne to rzeczy, ale z rzeczy drobnych składają się wielkie; nie można lekceważyć nawet najmniejszej dozy radości lub zadowolenia, bo życie jest tak okropnie szare, ba! tak czarne czasami.

Rzemieślnicy i kupcy, cieszcie się! Bo oto miasto się napełnia, powstaje ruch w waszych sklepach i warsztatach. A najwięcej cieszcie się panowie księgarze i składnicy przyborów szkolnych. Wasze sklepy będą przepełnione, wasze kasy będą się piętrzyły stosami banknotów i monety zdawkowej. Obległą was olbrzymie tłumy, aby rozchwytywać podręczniki szkolne i inne „instrumenty“, przy pomocy których głowy kapuściane mają się stać skarbnicami wiedzy.

Cieszcie się i resursy, w których „psa znaleść było trudno“, bo oto służba zmiata pajęczynę ze stolików zielonych, bo oto zarówno król czerwienny jak dama żołędna odzyskają swe utracone trony i przywileje.

Cieszcie się młodzieńcy, bo powracają „one“; cieszcie się panienki, bo powracają „oni“. Wprawdzie tam, na wakacyach, każde z was miało jakiegoś sercowego „onego“ lub sercową „oną“, ale to zazwyczaj był flirt tylko, flirt nieobowiązujący, chwilowy. Stały wylew stałych uczuć, prowadzący do stałych następstw, odbywa się prawidłowo tylko w miejscach stałego pobytu.

Cieszcie się i czytelnicy dzienników. Wprawdzie powrót letników może być dla was obojętny, ale jednocześnie z tym powrotem kończą się wakacye polityki, spraw społecznych, nauki, literatury itd. Przez dwa miesiące karmiono was sieczką, bawiono wyścigami automobilowymi, sprawozdaniami z operetek, sensacyjnemi morderstwami, korespondencyami z miejsc kąpielowych i szczegółowymi opisami najdrobniejszych włamań lub zwykłych bójek ulicznych. Skończy się to nareszcie, bo oto nastaną niezadługo wybory do trzeciej i ostatniej Dumy, bo oto sejm będzie rozszerzać prawa wyborcze, bo oto rada miejska przystąpi do nowych inwestycyi i pożyczek, bo dowiemy się wkrótce coś pewnego o losach Macedonii (podobno na wszystkich zjazdach monarszych głównie się nią zajmowano), bo w teatrze ujrzymy nowe dzieła, już przed porodem arcydziełami mianowane, bo otworzą się laboratorya uczonych i pracownie artystów..... — nie mówiąc już o tem, że będzie otwarta nowa restauracya w gmachu starego teatru.

Ciesz się wreszcie cały narodzie, zarówno konserwatywny jak postępowy, bo od września nastąpi nowy ruch i nowe życie, a choćby pierwszy nie bardzo się ruszał, a drugie więcej wegetowało niż żyło, to zawsze będzie jakaś odmiana, jakaś rozmaitość, bez której wyżyć trudno, jak się tłómaczył przed sądem oskarżony o bigamię.

Co do kronikarza „Nowości“, to ten cieszy się przedewszystkiem tem, że maluczko, a wydadzą ostatnie tchnienie... korespondencye z miejsc kąpielowych. Jest to moje największe wakacyjne utrapienie. Używając w pełni nudów letniego mieszkania, chwytam namiętnie każdy zadrukowany arkusz bibuły i czytam go od deski do deski, zaczynając od głębokich dociekań nad tem, co mógł mówić król Edward do cesarza Wilhelma, a kończąc na tem, że „kawaler 34 letni z powodu braku znajomości ożeniłby się z blondynką przystojną, łagodną, z odpowiednim posagiem — dyskrecya zapewniona“. Czytam wszystko, nawet rubrykę przeniesień, ceny cukru i kukurydzy i wszystko to mnie zajmuje — jedynie dostaję mdłości na widok korespondencyj z Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy, Kołobrzegu, Maryenbadu, Ostendy itd. Bo są to z małym wyjątkiem albo skończone brednie, albo niesmaczne reklamy. Co mnie i cały świat może obchodzić, że zrobiono nową ścieżkę „na Wypsytku“, że dobra jest restauracya jakiegoś Schulca czy Mayera, że kto chce to może z X. zrobić wycieczkę morzem na prawo lub na lewo, że w jakimś badzie teatr daje niezłe operetki, że w Ostendzie gra orkiestra pana Biuskopfa, że na różnych deptakach pełno ludzi i gwaru itd. Te wszystkie ważne wiadomości powtarzają się z roku na rok. Ale nie na nich koniec, zwłaszcza kiedy idzie o nowe miejsca kąpielowe. Czytamy więc dytyramby na cześć „niestrudzonego i energicznego zarządu“, dowiadujemy się o „znanej uprzejmości właściciela zakładu“, każą nam wierzyć, że w sanatoryum dra X-a „jesteś jak u siebie“, że panuje w nim „wymarzona swoboda, połączona z komfortem“, że taniość i elegancya w innym znów „łataczu zdrowia“ przechodzi wszelkie pojęcie... A każdy taki korespondent zapewnia, że miejscowość, w której przebywa, jest „królową“ letnisk lub zdrojowisk, każde postawienie kilkunastu ławek lub posadzenie kilkunastu drzewek przez „zarząd“ lub „właściciela“ uważa za fakt epokowy, za który całe społeczeństwo wdzięcznem być powinno; każdy zachwyca się „doborową orkiestrą“ (8 żydków z pobliskiego miasteczka), pieje hymny na cześć „uroczych amatorek“ (jedna jest zezowata, druga chuda jak patyk, u trzeciej nos z brodą się styka), inny niema słów dla „artystycznej biesiady“, urządzonej w zakładzie dra Reta (jakaś dziewica strasznie wyła, jakiś młodzian wygłaszał idyotyczny monolog). Pozatem korespondencye te to fabryka wielkości. Nigdy w życiu nie słyszałeś, człecze sprawiedliwy, że istnieje hrabia Niedopytajiło, radca Nicnieróbski, p. Zwykłezero, pani Dlasiebieżyjska, pan Kamienicoposiadacki, państwo Pszenicosiejowicze, Krowobijscy, Kuponoobcinaccy, — a tymczasem niech nadejdzie pora letnia, to wiesz napewno, gdzie każda z tych wielkości przebywa. Może każda z nich żyć sto lat, a nikt o niej nie będzie słyszał, bo niczem się nie zasłużyła, nic nie zrobiła, w niczem nie brała udziału, nie odznaczyła się ani pracą, ani nauką, ani talentem, a choćby urodą, choćby wreszcie skandalem — ale raczyła wyjechać do kąpiel i zaraz świat cały dowiaduje się o tym jej „czynie“.

Więc mam przyczynę być zły na korespondencye i wolę już czytać sennik egipski, lub dalszy ciąg artykułów o księciu Borghese.

W poprzedniej kronice nic o nim nie pisałem, muszę więc to sobie wynagrodzić. Oto pokazuje się, że owo entuzyastyczne przyjęcie, jakie go według naszych pism miało spotkać w Paryżu, należy do rzędu bajek. Może temu był winien deszcz, który padał w dniu przybycia księcia, ale fakt jest faktem, że ani entuzyazmu, ani tłumów nie było. Prasa wogóle przyjęła obojętnie wjazd bohatera. Może znów tego przyczyną była konkurencya, bo wszak wyścig urządzał dziennik „Matin“, więc jak innym dziennikom robić konkurentowi reklamę? — ale znowu fakt faktem, że prasa francuska ledwie-ledwie wspomniała o wielkim zwycięscy. Czy tylko francuska? Zaręczał mi pewien dziennikarz, który prowadzi referat pism rosyjskich, że w tych pismach o ks. Borghese i wogóle o całym wyścigu automobilowym były zaledwie małe wzmianki, i od trzech tygodni i tych wzmianek nie zdarzyło mu się spotykać. A przecież pisma rosyjskie to płachty, miejsca w nich podostatkiem, a przecież bohaterzy automobilowi przejechali całą Rosyę azyatycką i europejską! O ileż więc należy podnieść zasługi naszej prasy, zawsze krępowanej brakiem miejsca, zawsze niemającej miejsca na artykuły literackie, że usuwała na bok różne „dzienne sprawy“ i poważne kwestye, aby tylko codzień wypełnić sumiennie rubrykę: Pekin—Paryż, choć ks. Borghese ziemi polskiej nie dotknął nawet swą stopą.

A propos automobilów z przykrością mi przychodzi zanotować, że w Paryżu powstała Liga antiautomobilowa (nazwa urzędowa: Antiauto), której prezes, choć sam używa samochodu, jest zdania, że ze środka komunikacyi, który należy udoskonalić, bo może mieć wielką przyszłość przed sobą, nie należy robić głupiej i niebezpiecznej zabawki. Dewizą Ligi jest: „Niech samochód nie będzie w rękach naszych tem, czem brzytwa w rękach małpy lub szalonego“. Nie powiem, aby ta dewiza była grzeczną, ale może być pożyteczną.

Pożytecznej rzeczy dokonały sądy amerykańskie, skazując na karę pieniężną potentatów finansowych, stojących na czele „Standard oil Company“. Towarzystwo to, którego dziełem jest olbrzymi trust naftowy, dopuszczało się licznych nadużyć w dziedzinie taryf frachtowych, oraz innych przekroczeń. W porządku więc jest, że mu umniejszono nieco kasowego ciężaru. Ale wiecie, ile to „nieco“ wynosi? jak ta kara pieniężna jest wysoka? Oto 29 milionów dolarów z jakimś tam jeszcze dodatkiem, co wynosi na naszą walutę koło 140 milionów koron. Ładna kara — a jednak prośmy Opatrzności, aby i na nasz przemysł galicyjski spadło takie nieszczęście. Bo chcąc zapłacić karę 140 milionów koron, trzeba je mieć. A „Standard oil Company“ ma. I nietylko ma, lecz po tej karze nie zbankrutuje. Bo te 140 milionów, to mniej niż zysk roczny, mniej nawet niż dywidenda z jednego roku. Wprawdzie kapitał akcyjny Towarzystwa wynosi tylko około 500 milionów koron (100 milionów dolarów), ale czysty zysk w czterech ostatnich latach wahał się między 300—400 milionami rocznie — a wynosił razem 1 miliard i 324 milionów koron! Akcyonaryusze w tym czasie czteroletnim, pobierali rocznie dywidendę od 35—45%, czyli że otrzymali przez lat cztery 160% od swoich kapitałów. Pan Rockefeller wziął 44 milionów, pp. Harkness i Flogler po 17 milionów, pan Pratt 15, pan Payne 14 milionów itd. Mogą więc przeboleć tę karę, bo nie zabierze im nawet jednorocznej dywidendy. Mniej przyjemne dla trustowców“ jest jej moralne znaczenie. Bo zapowiada ona wzięcie się na seryo do rozbójników pieniężnych, do wyzyskiwaczy, którzy do tej chwili, dzięki potędze finansowej, byli nietykalni i nawet oszustw swobodnie się dopuszczali.

Ha! może i u nas zakwitną miliardziki. Szyb „Wilno“ w Tustanowicach pod Borysławiem wydaje dziennie 100 wagonów ropy — wydatność to amerykańska. Więc może będą i amerykańskie kapitały. Tylko nie mogę się z gazet dowiedzieć, czyją ten szyb jest własnością. A może jakiego amerykanina? W takim razie dolewalibyśmy do pełnej beczki i kontentowalibyśmy się jedynie... zapachem.

Kącik humorystyczny.

KOT I MYSZ.

Nadzwyczajne święto:
Owies w polu zżęto,
Więc z piwnicznych nisz
Za sprawunkiem wyszła mysz.
Sunie cicho tuż przy murze
Przez podwórze,
I już miała przeleść płot,
W tem patrzy.... kot!
Zoczył,
Skoczył —
Wnet ją ma. Pisnęła biedaczka mała
I zemdlała.
Łotr ją chwilę trzyma w łapie;
Znudził się, więc trąca, drapie,
Rzuca do góry,
Chwyta w pazury,
To znów usiadłszy,
Niby w inną stronę patrzy,
Wreszcie z lekka wziął do gęby,
Łbem potrząsnął, ścisnął zęby —
Odgryzł ucho.
Tu ból srogi
Mysz ocucił. Nieszczęśliwa
Na odwagę się zdobywa
I w nogi.
Kot dał susa — cap! na nowo
Trzyma i mówi surowo!
Co?... Uciekać się zachciało?...
Czekaj! za to zjem cię całą.
— A gdybym nie zmykała?....
Żałośnie mysz pyta...
— Głupiaś i kwita.

* * *

W Tatrach.

Turysta (wynajmujący nocleg u górala na strychu stajni).

— A gdybym się tak w nocy stoczył na dół między krowy?

Góral: Nic to — panocku. One są przyzwyczajone do tego.

Wybryki baszy-buzuków.

W pierwszej połowie sierpnia rozniosły pisma codzienne wysoce niepokojącą wiadomość o wybuchu wojny między Turcyą a Persyą. Mówiono o wkroczeniu wojsk tureckich wraz z artyleryą w granice państwa szacha, o walkach pod murami miasta Urmia, o wielkich stratach w ludziach — słowem wydawało się na podstawie tych wiadomości, że zawrzała wielka wojna między temi dwoma sąsiadującemi ze sobą państwami.

Dopiero w kilka dni później okazało się z telegramów, nadeszłych z Teheranu, że owo zajście na granicy persko-tureckiej nie było żadną wojną, ale tylko wybrykiem niesfornych baszy-buzuków, wybrykiem pozbawionym jakichkolwiek politycznych cech. Baszy-buzuki mianowicie są nieregularnem wojskiem tureckiem, zbieranem z ochotników głównie w Albanii i Azyi Mniejszej. Od rządu otrzymują oni tylko uzbrojenie i amunicyę, nie pobierają zaś żołdu i nie są jednolicie umundurowani. Walczą jako piechota, albo jako konnica. Dzikie to, niekarne żołdactwo prowadzi na własną rękę wyprawy i wojny i jest postrachem spokojnych okolic. Stanowią też oni raczej regularne bandy rozbójnicze aniżeli oddziały wojska tureckiego.

Zajścia tego rodzaju, jak ostatnie na granicy persko-tureckiej, powtarzają się tam od lat przeszło sześćdziesięciu. Granice bowiem między Persyą a Turcyą nie są dość dokładnie wytyczone i mimo interwencyi mocarstw europejskich nie przyszło dotąd do stanowczego ich oznaczenia. Wskutek tego jest tam obecnie pewien obszar i to obszar znaczny, uznany jako pas neutralny. Tam właśnie przychodzi nieustannie do burzliwych i krwawych utarczek między dzikiemi hordami baszy-buzuków a mieszkańcami tych okolic oraz wojskami perskiemi.

Ostatnie wybryki baszy-buzuków miały miejsce w prowincyi perskiej Aserbeidżan, w pobliżu miasta Urmia. Miasto to, leżące nad słonem jeziorem tej samej nazwy, liczy około 35.000 mieszkańców. Okolica tam żyzna i starannie uprawiania. Bójka, jaką baszy-buzuki wywołali, była krwawą, bo wedle doniesień stamtąd, straciło w niej życie kilkadziesiąt osób. Nadto ofiarą padła jedna z wiosek w pobliżu Urmii, dokąd wpadła banda rozbójnicza; wioskę tą zniszczono doszczętnie. W obronie zagrożonej ludności wystąpiły oddziały wojska perskiego, wobec przeważających sił jednak po stronie napastników, musiały się cofnąć ze znacznemi stratami. Charakterystycznem jest, iż baszy-buzuki mieli na swe usługi także artyleryę. Widać stąd, iż do niesfornych zastępów bandyckich przyłączyły się i oddziały regularnego wojska tureckiego.

Krwawe zajścia odbiły się głośnem echem także i w parlamencie angielskim. Rząd bowiem Wielkiej Brytanii jest w wysokim stopniu zaangażowany zarówno w sprawach perskich jak i tureckich.



Wybryki baszy-buzuków: Oddział tureckich baszy-buzuków, stacyonowanych w pobliżu granicy persko-tureckiej.

Na interpelacyę w Izbie niższej odnośnie do tych zajść, odpowiedział sekretarz stanu Grey, iż ambasada angielska w Konstantynopolu poczyniła kroki u sułtana, celem poskromienia niesfornych baszy-buzuków i przywrócenia spokoju w owych stronach.

Rokosz murzynów.

Tak w wieku bieżącym, jak i ubiegłym, silnie rozwinięty ruch narodowościowy okazał się znamiennem zjawiskiem życia politycznego wszystkich ludów. Każdy kraj chce należeć li tylko do siebie Prąd ten pod hasłem „kraj dla jego mieszkańców“ przeniknął już nawskroś świat cywilizowany, a dzisiaj wstrząsa i dzikimi ludami, zachęcając je, by zrzuciły z siebie jarzmo obcego panowania.

Do takich sądów uprawnia też burzenie się ludu prawie dzikiego zupełnie, murzynów w Afryce.

Plemiona murzyńskie odznaczają się niezwykłą wytrzymałością i zapobiegliwością, te też zalety pozwalają im dążyć po przez niepokonalne prawie trudności do osiągnięcia zamierzonego raz celu. Te cechy swego charakteru sprawdzają i w życiu potocznem, codziennem, co się okazuje z wielkich bogactw, jakie potrafili w bardzo trudnych warunkach zgromadzić, a które obracają na zakupno broni i na prowadzenie walk o niepodległość.

Bohaterem buntującej się przeciw pruskim rządom Afryki jest obecnie murzyn Morenga. On uosabia w sobie cały ruch murzyński, on zagrzewa i prowadzi plemiona do walki. Morenga — to najzawziętszy wróg Niemiec, które na głowę jego nałożyły wielkie nagrody, sądząc, iż po schwytaniu dowódcy łatwo zgniotą powstanie. I ta nagroda jednak okazuje się za małą, wobec tego, że nienawiść ku Niemcom już zbyt szerokie zatoczyła kręgi w Afryce.



Rokosz murzyński: Dowódca murzynów, Morenga, w otoczeniu swych towarzyszy.

Po długich i kosztownych walkach udało się nakoniec Niemcom na tyle stłumić powstanie murzyńskie, iż bezustanne starcia chwilowo ustały. Morenga schronił się na pewien czas do posiadłości angielskich, nie długo jednak pozostawał w nich, bo po paru miesiącach udał się znowu na samą granicę niemiecką do Uppingtone, pod pozorem, iż chce zobaczyć się ze swoją rodziną. Wkrótce okazał się prawdziwy cel jego wycieczki; oto podburzył on przeciw Niemcom hottentockiego wodza Simona Coppera. Rząd berliński domagał się od Anglii wydania Morengi, lecz ten zawsze w ostatniej chwili, dokonawszy srogich spustoszeń w posiadłościach niemieckich, potrafił ukryć się w niedostępnych okolicach. W Berlinie obwiniają o to Londyn, zwłaszcza iż rząd brytyjski podczas poprzedniego powstania sprzyjał murzynom; nietylko, iż otwarł im swe granice, by w potrzebie mogli się tam ukrywać, ale nawet bezpośrednio zagrzewał i pomagał murzynom w ich walce.

Ostatnie telegramy z Afryki, nadeszłe do Berlina, brzmią dla Niemców niepomyślnie. Morenga znowu przekroczył granice posiadłości niemieckich z oddziałem czterechset ludzi, z tych 150 uzbrojonych w szybkostrzelne karabiny; na spotkanie jego wyruszyli w znacznej liczbie Hottentoci. Rząd niemiecki nie lekceważy tego nowego ruchu murzyńskiego; armia niemiecka, która miała już wracać do kraju, otrzymała rozkaz pozostania na stanowisku w Afryce. Niemcy zbierają obecnie owoce swej kultury; nawet dzikie ludy, o zupełnie pierwotnych instynktach, nie są w stanie jej strawić.

Straszna śmierć robotnika.

Znaną jest turystom, zwłaszcza z Galicyi wschodniej, prześliczna miejscowość w Beskidzie wschodnim, Jaremcze, pięknością położenia wśród niebotycznych gór dorównywająca Zakopanemu. Lat kilkanaście dopiero mija od „odkrycia“ tego uroczego zakątka, a już sława jego piękności głośną jest i szeroką. Linia kolejowa, prowadząca ze Stanisławowa doliną Prutu przez Jaremcze na Węgry, umożliwia dostęp i do Jaremcza i do całego szeregu innych miejscowości, równie pięknych, równie czarownych, do Dory, Mikuliczyna, Tatarowa, Worochty.

I od tego czasu, jak dziewicze owe góry i lasy przecięto linią kolejową, cała okolica cicha dotąd i spokojem swym imponująca, ożywiła się i zaroiła tłumem turystów. Rozpoczął się tam żywy, niemal gorączkowy ruch budowlany, padały drzewa pod ciosami siekier, a na ich miejsca wznosiły się piękne wille, coraz gęściej, coraz ciaśniej obok siebie wznoszone. A obok tego ruchu turystycznego począł się równocześnie rozwijać w tych stronach ruch inny, mniej sympatyczny dla ogółu, ale zato bardzo rentowny dla tych, którzy się go imali. Oto niezmierzone gęstwiny wspaniałych lasów oraz olbrzymie skały skusiły mnóstwo przedsiębiorców do eksploatacyi tych bogactw przyrody. I rozpoczęła się rabunkowa gospodarka, całymi szmatami padały lasy pod uderzeniem toporów i siekier, a równocześnie dynamit rozsadzał przepiękne, malownicze skały, dostarczając spekulantom całych mas kamienia.

Żal serce ściska na widok barbarzyństwa spekulantów, którzy dla marnego zysku niszczą prawdziwe cuda przyrody, żal tem większy, że ofiarą tej chciwości padają nietylko przepiękne lasy i urocze skały, ale i ludzie. Coraz częściej dochodzą z tamtych stron wiadomości o strasznych wypadkach, w których skutkiem nie dość starannego zaopatrzenia pracujących i skutkiem niedbalstwa przedsiębiorców, tracą życie robotnicy miejscowi.

Świeżo zaszedł znowu podobny wypadek w Jaremczu. Oto w kamieniołomach Kollera i Weisberga urwała się olbrzymia skała i ciężarem swym przygniotła jednego z robotników, 28-letniego Jana Ciepłego. Nieszczęśliwy ten człowiek zginął na miejscu, jako jedna z wielu ofiar gorączki spekulacyjnej i niedbalstwa przedsiębiorców.



Straszna śmierć robotnika: Ogólny widok kamieniołomów w Jaremczu, gdzie zaszedł straszny wypadek.

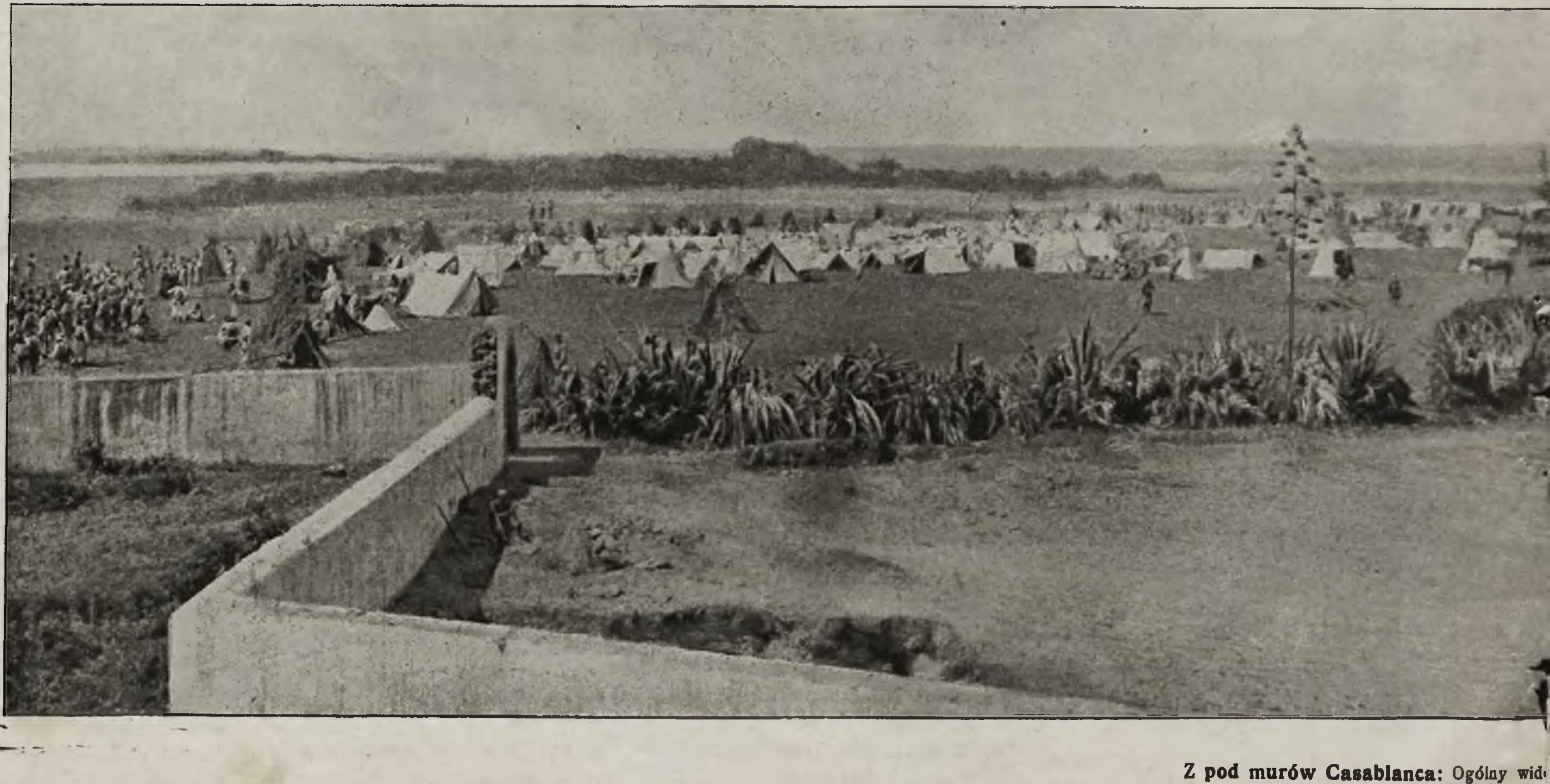


Straszna śmierć robotnika: Widok skały (X) pod którą znalazł śmierć jeden z robotników.

Z pod murów Casablanca.

Coraz straszniejsze wieści dochodzą do nas z Marokka. Zdawało się początkowo, iż po zbombardowaniu Casablanki przez francuskie krążowniki rokosz zupełnie ustanie, tymczasem pociski armatnie wywołały inny zupełnie skutek, bo powstanie ogarnia coraz większe przestrzenie i obecnie już kraj cały objął jeden płomień rokoszu przeciw Francyi. Wszczęła się „wojna święta“, z którą uporać się nie będzie już tak łatwo.

Siły francuskie, pozostające pod dowództwem jenerała Drude, są niewystarczające, zwłaszcza że częste napady arabów sprawiają znaczne dość wyrwy w szeregach francuskich. Prawie bezustannie toczą się walki z kabylami, których w każdej potyczce pada po kilkuset, ale niestety ubywa i żołnierzy francuskich; a gdy napadająca armia marokańska ustawicznie zwiększa swe siły przybyszami z wnętrza kraju, oddziały broniące się muszą na razie wystarczać sobie, zanim przy-



Z pod murów Casablanca: Ogólny wid

będą im posiłki z Francyi. Jenerał Drude nie atakuje też, lecz trzyma się tylko pozycyi obronnej.

Walka więc wre zacięta. Jeżeli zwrócimy uwagę na wiarę mahometan w fatalizm i na ich przekonanie, że najszczytniejszą zasługą przed Ałłachem jest gnębienie niewiernych, za co ich czeka raj po śmierci, zrozumiemy łatwo z jakim fanatyzmem rzucają się kabyle do boju. Pola starć przedstawiają też straszny widok z zasiekanymi poprostu trupami, lecz nierównie ohydniejsze wrażenie wynosi się z miejsc, przez które przeszły krwiożercze oddziały Marokkańczyków. Casablanca przedstawia obecnie niby jedną otchłań piekielną, w której szalała śmierć. Wśród poburzonych domów, wśród zwalisk murów, pomiędzy zniszczonym dobytkiem cudzoziemców, a zwłaszcza żydów, walają się całe stosy trupów. Zaskrzepła krew wielkiemi kałużami świadczy, iż życie oddawano tu tylko po zaciętej walce. Padłe konie, bydło, ludzie, poodrębywane członki ciała ludzkiego, walają się na każdym kroku, wydając trującą woń. Gehenna nędzy ludzkiej - oto obecne Casablanca. Przy oczyszczaniu miasta musieli przechodzić zajęci tem ludzie, istne męki moralne. Trupy całemi masami zwalano na wozy i tak dopiero wywożono je na puste miejsca. Jak jedna z rycin naszych przedstawia, tubylcy, zbierający ciała, obwiązywali sobie twarze, a zwłaszcza usta i nosy, by choć w ten sposób zabezpieczyć się ododoru zgnilizny, jaki zatruwał w około powietrze. Następne ryciny nasze przedstawiają członków konsulatu francuskiego wraz ze zbiegami, którzy w obawie o życie, tutaj szukali schronienia, obóz francuski z rozrzuconymi w polu namiotami i oddziały wojska francuskiego, gdy w rowach oczekują ukazania się nieprzyjaciela. Ostatnia rycina charakteryzuje brawurę żołnierzy francuskich, którym grożące niebezpieczeństwo podczas właśnie toczącej się walki, nie przeszkadza spożywać najswobodniej posiłku.



Z pod murów Casablanca: Chłopcy marokkańscy wywożą gnijące trupy z dzielnicy żydowskiej.

Śmierć zasłużonego profesora.

Tuż przed rozpoczęciem się roku szkolnego nieubłagana śmierć wyrwała z rzędu profesorów lwowskich, jednego z najlepszych i najinteligentniejszych wychowawców młodzieży szkolnej. W nocy z poniedziałku na wtorek zmarł prawie nagle, bo po dwudniowej zaledwie chorobie, i poza Lwowem, bardzo ceniony profesor języka polskiego, Franciszek Konarski.

Zawód profesorski rozpoczął przed laty około dwudziestu pięciu przy gimnazyum Franciszka Józefa, gdzie uczył języka polskiego. Przez parę lat był następnie w gimnazyum ruskiem profesorem polskiego, jednając sobie i tam niekłamaną sympatyę tak grona nauczycielskiego jak i uczniów. Przeniesiony następnie do gimnazyum piątego pozostał tutaj aż do końca życia, krzewiąc wśród



Smierć zasłużonego profesora: Ś. p. profesor Franciszek Konarski

młodzieży zamiłowanie języka polskiego i literatury polskiej.

Ś. p. prof. Konarski wydał też zwięzłą gramatykę języka polskiego, używaną dziś powszechnie we wszystkich szkołach ludowych i w pierwszych klasach szkół średnich.

Poza zajęciem pedagogicznem zmarły profesor pracował też literacko, a owocem tej pracy są: tomik pięknych wierszy p. t. „Z bólów życia“, przekład komedyi Arystofanesa „Rycerze“, oraz liczniejsze drobne wiersze w pismach peryodycznych.

Pedagog ze wszech miar sympatyczny, przez rodziców niezwykle szanowany, przez uczniów kochany, zmarł ś. p. Franciszek Konarski licząc lat zaledwie 50.

Pogrzeb odbył się we środę po południu przy tłumnym udziale uczącej się młodzieży, która mimo feryj pospieszyła do Lwowa, by oddać ostatnią posługę ukochanamu profesorowi.



obozu francuskiego na wschód od Casablanca.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

13 Ciąg dalszy.

Zaczął się niepokoić. Oko oswoiło się już z ciemnością, więc wytęża wzrok. Coś nie coś światła dochodzi z góry. Rozgląda się. Jest to nie korytarz, ale mały pokoik, rodzaj skrytki, jakie urządzano dawniej w pałacach, aby ukrywać, kogo ukryć się pragnęło, przed pościgiem władzy. W takich skrytkach przebywali właśnie ci, których ścigano za polityczne przestępstwa. Ściany wyłożone deskami, u góry mała szyba z białego szkła, dopuszczająca coś nie coś światła. Fabrequette zaczyna się niepokoić. Czyż go tu do więzienia znęcono?

Rozpatruje się jeszcze. Nigdzie śladu drzwi, okna; żadnego sprzętu. Gdyby chciał się położyć, to chyba na gołej podłodze.

Minęła prawie godzina. Fabrequette zrozumiał wreszcie, że go tu uwięziono. Nie przeraził się, nie rozpaczał, jeno wściekłość go ogarnęła, że się dał podejść, że klęski doznał tam, gdzie pewien był już zwycięstwa.

— Czy z dyabłem w zmowie ten puszczyk?— rozmyślał teraz poczciwy łobuz. — Jakim sposobem przewidział, czy przeczuł moje zamiary? Przecież u licha nikt mu powiedzieć nie mógł, że ja tu przyjdę, aby zbadać jaskinię łotrów?! A może to tylko przypadek zrządził, że drzwi się zamknęły i puszczyka istotnie szlag trafił? Co robić? Nie podobna, żeby w Paryżu była taka mordownia ludzi! Ej, cóżby znowu mógł mieć za powód zamykać mnie tu, skoro nic u mnie nie zrabuje. Chyba dla tych kilku franków, które mi dał Daubrac, nie popełniałby na mnie morderstwa. Ale szelma puszczyk!

Gniewa się tak i rozmyśla Fabrequette, gdy nagle rozsuwa się wysoko w ścianie otwór wielkości sporej szyby w oknie. Przez otwór wpada światło.

Fabrequette spojrzał zmieszany w górę ku otworowi a tu ukazuje mu się głowa głuchego staruszka, który jadł obiad razem z nim i Daubracem. Zdumiał się, osłupiał. Taż sama twarz, broda, też same okulary. Staruszek trzymał w ręce świecznik, o trzech świecach, jakby chciał sam siebie oświetlić i odezwał się szyderczo:

— Podoba ci się tu artysto? co? głuptasiu! Myślałeś, że tu co wyszpiegujesz? Aha! Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Nie poznajesz mnie? co? Jedliśmy obiad razem. Głupi, głupi! Zdawało ci się, że ja głuchy, a ja słyszałem doskonale, słyszałem każde słowo wasze. Wsiadłem prądko do fiakra i popędziłem do domu, aby się przygotować na przyjęcie gładkiego artysty-szpiega. Zdawało ci się chlastaczu, żeś bardzo mądry, przebiegły i ot, siedzisz teraz w łapce, z której wydobyć się nie zdołasz, jeżeli nie będziesz grzeczny i posłuszny.

Fabrequette osłupiał. Ogarniała go złość jeszcze większa. Czemuż był tak nieostrożny? czemu nie cofnął się od bramy, ujrzawszy łotrowską twarz kamerdynara. Czuje teraz, że grozi mu zguba. Zabiją go tu, zgładzą. Oczywiście nie wypuszczą już, aby nie naprowadził policyi na tę norę. Ba! rozmaicie bywa. Przecież jest opieka Boża nad ludźmi. Trzeba na razie udawać pokornego.

Takie myśli przelatują mu przez głowę a młoda fantazya krzepi go, dodaje mu otuchy.

— Ano prawda, że głupiec ze mnie, prawda! Wielki głupiec, że tak samochcąc wlazłem w nieszczęście — rzekł Fabrequette.

— Mógłbyś się z niego wydobyć — odpowiedział głuchy towarzysz obiadowy.

— A jakimże sposobem?

— Powiedziałem ci już przecie, że cię wypuszczę, gdy będziesz grzeczny i posłuszny.

— Posłuszny? co? a komu?

— Juścić mnie.

— Cóż mam uczynić?

— Postarać się o to, aby tu Meriadec przyszedł z tym chłopcem, którego zabrał z wieży do siebie.

— Postarać się o to?

— Tak!

— No! w jakiż sposób, skoro jestem zamknięty?

— Napiszesz malarzyku list do barona i mnie go wręczysz.

— Jaki list?

— O! cierpliwości mój ty chlastaczku, cierpliwości, zaraz ci podyktuję. Oto napiszesz te słowa: „Panie baronie! Niech pan zaraz zabierze Szaszę i przybędzie na ulicę Marbeuf 197. Udało mi się doskonale dostać do nory. Maluję tu ściany. W całym domu jest tylko stary kamerdyner, głupi jak but. Szasza pewnie pozna ten dom, w którym nocował. To będzie dla nas bardzo ważne odkrycie. Niech pan tu przybędzie pod pozorem zobaczenia się ze mną, celem ugodzenia się o robotę. Górą nasza! Czekam niecierliwie“. — Ot, tylko tyle.

— A gdy ten list napiszę, to co się stanie ze mną?

— Wypuszczę cię zaraz mój paniczu kochany.

— I nie będziesz się pan lękał, że pobiegnę zaraz do policyi z doniesieniem i skargą?

— O! wcale nie, bo zanim cię puszczę, podpiszesz mi taki rewersik. Słuchaj. „Ja Fabrequette, zeznaję niniejszem, że otrzymałem dziesięć tysięcy franków, za usługi oddane hr. Zweimarkowi, że i nadal obowiązuję się spełniać jego rozkazy, a zarazem oświadczam, że hr. Zweimark przyjął mnie na moje własne, gorące prośby, litując się mojej nędzy“.

— Tylko tyle? no, to nie wielka rzecz.

— A więc pisz.

— Kiedy ciemno.

— Zaraz ci poświecę i podam papier.

To rzekłszy, zrzucił towarzysz obiadowy perukę, brodę, okulary i Fabrequette ujrzał kamerdynera.

— A! co? dziwisz się? ha? no, no. Skoroś grzeczny i posłuszny, dam ci zaraz światło i papier.

Zasuwa spadła, znowu ciemno, kamerdyner zniknął. Fabrequette popadł w jakąś straszną apatyę; ogarnął go bezwład, a mimo tego lęk go pożerał. Był jak skazaniec, co widzi śmierć, lęka się jej, a sili się na to, by nią pogardzać. Nie spodli się; nie napisze ani listu takiego, ani takiego rewersu. Raczej zginąć! Za chwilę znowu podniosła się zasuwa, a w otworze ukazał się kamerdyner. Na łańcuszku zwiesił lampę nad głową malarza, ale tak, że jej malarz dosięgnąć nie mógł; potem podał na taśmie papier i ołówek.

— Piszże prędko chlastaczku drogi. Pisz — oto papier listowy, a tu arkuszowy na rewers.

— Niechże mi pan pozwoli cokolwiek czasu. Tak mi się ręka trzęsie ze strachu, ze wzruszeń, że nie mógłbym utrzymać pióra. Meriadec nie poznałby nawet mojego pisma. Muszę odpocząć bodaj chwilkę. A tymczasem niech mi pan raczy powiedzieć, panie marszałku dworu, na co też panu potrzeba widzieć się z baronem i owym chłopcem?

— Baronowi chcę wytłómaczyć, że to głupstwo, co robi na spółkę z doktorem, ową panną i z tobą. Czepiliście się człowieka, który wam nie wyrządził nic złego. Uroiliście sobie nie bywałe rzeczy, szpiegujecie, zmawiacie się przeciwko niemu. On tego nie lubi i chce wam pokazać, że umie łamać wszystko, co przeciw niemu się zwraca. My was wszystkich dostaniemy w swoje ręce. Wszystkich! rozumiesz malarzyku?

— A co się stanie z dzieckiem?

— A. tobie co do tego? Czyś ty jego ojcem, czy bratem?

— To ja mam za dziesięć tysięcy franków zdradzić przyjaciół i może na śmierć narazić niewinne dziecko?

— Jeżeli ci mało, dam więcej. Możesz dostać nawet piętnaście tysięcy. Hrabia hojny, bogaty, potężny. Pomyśl tylko! Dziś jesteś nędzarzem, a możesz za kilkadziesiąt wierszy być panem. Jeżeli się nie zgodzisz, to i bez ciebie dokonamy swego.

— Muszę się namyślić.

— Hę? namyślić? ptaszku nie łudź się, stąd nie wyjdziesz. Szkoda czasu.

— Jakąż mam pewność, że podpisawszy, zostanę wypuszczony?

— Oddasz mi oba pisma w bramie, przy drzwiach uchylonych.

— A, to dobrze. Ale jeszcze mi się ręka trzęsie. Później napiszę.

— Słuchaj no ptaszku, nie wódź ty mnie za nos, boś się już przekonał, żeś za głupi, by mnie w pole wywieść.

— Ale nie, nie. Zapewniam. Widzi pan, że jestem posłuszny. Nie piszę, bo naprawdę ręka mi się trzęsie. O! widzi pan.

— A więc namyślaj się do jutra.

— Ej, tak po ciemku?

— W ciemnicy łatwiej myśli skupiać. Słowikom oczy wypalają, żeby piękniej śpiewały.

— Aleź będę głodny!

— Ej, po takim obiedzie, jaki dziś zjadłeś, możesz wytrzymać dzień postu. Jadłeś, aż ci się uszy trzęsły. A pocieszaj się myślą, że dostaniesz piętnaście tysięcy, skoro tylko Meriadec z malcem będą w mojej mocy. Piętnaście tysięcy!

Fabrequette przeciągał tę rozmowę, aby odzyskać właściwą sobie energię, zebrać siłę woli. Gdy uczuł się silnym, zrezygnowanym na wszystko, krzyknął:

— Łotrze! Czy myślisz, że dla marnego grosza popełnię zbrodnię? Raczej własne życie poświęcę, niż zdradzę przyjaciela i niewinne dziecko na śmierć narażę! Łotrze, puszczyku przeklęty; mnie Bóg ochroni, a ty ze swoim panem staniesz pod szubienicą. — Tchórzu! gadzie podły! ruszaj stąd i nie zatruwaj powietrza piekielnym oddechem. Ruszaj stąd, bo ci łeb rozwalę bodaj pędzlem, co go mam przy sobie.

— Ha! ha! ha! jakiś ty głupi!

— Głupi, ale nie podły!

— A, to bądź zdrów malarzyku. Dobranoc.

— Precz!

— A to giń tu z głodu, skoro ci tak miło. Giń błaźnie!

Zasuwa zapadła. Fabrequette został sam, wśród ciemności i głuchej ciszy.

VI.

Rozalia Verdier urządziła się prędko w ofiarowanem sobie mieszkaniu i już o piątej wyjechała z Szaszą pod klub. Przez okno karetki spoglądał wciąż malec ku bramie domu, ale daremnie do godziny siódmej czekali, bo ojczym małego Rosyanina nie pojawił się wcale.

Kapitan Saint-Briac poszedł też do klubu o zwykłej godzinie. Namyślał się długo i walczył z sobą, zanim się na to zdecydował. Spotkać Zweimarka i nie skarcić za list bezimienny, to będzie trudno. Unikać go, nie pokazywać się w klubie, byłoby tchórzostwem.

Rozmyślał, wahał się, wreszcie postanowił pójść, a Zweimarka ignorować.

Zdziwił się wielce, że hrabia tego wieczoru w klubie się nie pokazał. Na sali mówiono, że hr. Zweimark wyprowadził się z hotelu Continental, w którym dotychczas mieszkał, nie pozostawiwszy tam nowego adresu. Saint-Briac słuchał tych opowiadań z wielkiem zadowoleniem.—A może ten pruski hrabia opuścił Paryż? — pomyślał Saint-Briac. Może uciekł przed pościgiem policyi? Jeżeli tak, to przecież nie będzie już miał powodu zdradzić tajemnicy i spokój Odety będzie zapewniony.

Mały Szasza coraz rzewniej wspominał matkę, coraz częściej prosił, aby mu powiedziano, co się z nią stało, aby jej szukano. Był to nie mały kłopot dla barona i Rozalii. Wprawdzie wszyscy byli pewni, że strącona z wieży kobieta była jego matką, jednak nikt nie miał odwagi powiedzieć to chłopcu. Myślano, że im później dowie się prawdy, tem łatwiej ją przeboli, oswojony już wśród obcych, zaprzyjaźniony z nimi.

Nazajutrz rano udała się Rozalia do hotelu Dieu, żeby odwiedzić zwłoki ojca. Szasza domagał się natarczywie, aby go z sobą wzięła. Polubił Rozalię bardzo; nudziło mu się w domu, pragnął zabawić się ruchem ulicznym wielkiego miasta, a przytem coś go tam ciągnęło. Gdy weszli do szpitala, Rozalia chciała się udać najpierw do doktora Daubraca i tam chłopca zostawić, aby nie szedł z nią do kostnicy. W westybulu spostrzegł Szasza rozwieszone fotografie. Zaczął się im chciwie przypatrywać.

— Czemu tu rozwieszono takie straszne fotografie?

— Są to fotografie osób nieznanych, nagle zmarłych, lub zamordowanych.

— A na co je tu rozwieszono?

— Aby bodaj z fotografii mógł kto poznać osobę zmarłą i podał o niej wiadomość.

— A to tak samo, jak w mordze, gdzie wystawiają zwłoki na widok publiczny?

— Tak; tylko że w mordze wystawiają zwłoki, a gdy je już pochowają, wtedy umieszczają fotografie w mordze i w szpitalach.

— Boże! moja mama! — krzyknął Szasza i wyciągnął ręce ku fotografii. — Mama moja zabita, strasznie zabita!

Omdlał. Rozalia cuci chłopczynę. Zjawia się straż szpitalna, przybiega doktor Daubrac. Zaniesiono omdlałego do mieszkania doktora.

Gdy Szasza odzyskał przytomność, zawołał:

— Ojczym zabił moją matkę! Dlatego to uciekał przedemną! Prawdę mówił Mikołaj Trofimowicz, że tato nikczemnik!

Długo trwało, zanim chłopca uspokojono. Błagał, zaklinał, aby go zaprowadzono na grób matki. Daubrac przyrzekł mu uroczyście, że go sam na cmentarz zawiezie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Złodziejska szajka.

Policya tarnowska ujęła przed paru dniami troje sprytnych i niebezpiecznych rzezimieszków, pochodzących z Królestwa Polskiego, którzy zawitali do Tarnowa na gościnne występy.



Złodziejska szajka: Maks Wassermann.

Jako teren pierwszej operacyi wybrali oni magazyn jubilerski Majera Marguliesa. Udali się tam w porze południowej i zażądali pokazania kolczyków, rzekomo celem zakupna. Usłużny jubiler pokazał nie tylko kolczyki ale i pierścionki. Ta usłużność właśnie i zbytnie zaufanie do nowych „kundmanów", przyprawiło go o bardzo poważną stratę. Goście bowiem nie kupili nic, a przywłaszczyli sobie dwa cenne pierścienie z brylantami. Klejnotami tymi nie długo się atoli cieszyli. Na wiadomość bowiem o popełnieniu kradzieży policya tarnowska zarządziła poszukiwania za sprawcami i całą trójkę ujęła w swe ręce. Są to Maks Wassermann, Chana Steinitz i Leja Feldbaum. Mimo wypierania się winy przez aresztowanych, policya zebrała mnóstwo



Złodziejska szajka: Chana Steinitz i Lea Feldbaum

dowodów przeciw nim świadczących, przedewszystkiem zaś znalazła w pończosze Lei Feldbaum „corpus delicti", jeden z pierścieni. Drugi pierścień miał przy sobie „dyrektor" Wassermann, przy aresztowaniu jednak zdołał go odrzucić i to tak, iż go nie znaleziono. Stąd poniósł jubiler znaczną stratę.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobizny członków złodziejskiej szajki.

Zagadka do nagrody

Szarada.

Ułożył J. Scheffel ze Lwowa.

Ach! jak tańczyć dobrze, gdy obszerna, długa
Zapewne już wiecie — no, *pierwsza* i *druga*,
Lecz darujcie panie zacne i panowie,
Że nastąpi kontrast teraz co slę zowie,
Bo do *pierwszej, drugiej*, trza dołączyć *trzecie*,
Będzie długie, grube, pewnie często jecie,
Widzę jak w handelku wisi na haczyku,
Dobre, bardzo dobre, zjadłbyś Czytelniku.
Mamy zatem tańce, są i smakołyki,
Teraz *trzecia z czwartą* popsuje nam szyki,
Śmiejcie się, śmiejcie, lecz nam nie pomoże,
Jak eksplozya blisko, ani święty Boże,
Więc żyjemy jeszcze, a więc szkoda czasu,
Wzlećmy do historyi, patrzmy do atlasu.
Całość, szybko znajdziesz, nie w Austryi ni w Szwecyi,
Znane miejsce bitwy starożytnej Grecyi.
Tam to siłę ducha, trzeba brać nam sobie,
By nie legnąć z czasem w zapomnienia grobie.

Za dobre rozwiązanie powyższej zagadki przeznaczamy pół klg. pomadek z cukierni Plaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 33.

Szarada.

I. Turkawka. II. Łamigłówka

Zagadka.

Garibaldi.

Logogryf.

I. Patrz Kościuazko na nas z nieba. II. Jaka praca taka płaca.

Kwadrat magiczny.

Atoli, topaz, opona, lanca, izaak.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Rożański Llbusza, W Czerkawskl Przeworsk, Czytelnia Polska Bircza. S. Spunda Skała, Z. Karasińska Wadowice, Związek Akademicki Kraków, B. Kazik Rzeszów, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Marszałek Kraków, A. Bocsoń Bóbrka, H. Leligdowiczówna Fraga, Z. Ziemiański Kraków, S. Moskal Kraków, Z. Malski Lwów, H. Pogles Kraków, F. Niepokój Krosno, Tow. »Zgoda« Krosno, Kierska Truskawiec, K. Fuchs Czeremchów, A. Goyska Bolechów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Z. Malski Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Nadesłane.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności.

Magazyn i Pracownia futer STANISŁAW STĘPKOWICZ

we Lwowie, ul. Sobieskiego L. 9. Obok sklepu p. Sedlaka.

(35—89) Poleca futra męskie i damskie, paletociki, wierzchy z baranków perskich, astrachanów, selskinów, peleryn i, kołnierze, boa, zarękawki, czapki damskie i męskie. Ceny niskie.

I-szy Lwowski zakład reperacyi, przerabiania, czyszczenia i prasowania wszelkiej odzieży

Jan Sozański kantor zamówień: Lwów, pl. Wekslarski 3

Przyjmuje po bardzo niskich cenach wszelką zniszczoną odzież do gruntownej reparacyi

---

MAGAZYN GARDEROBY DZIECINNEJ

35—52 (1907) 1—34 (1908)

POD FIRMĄ: FRANCISZEK MARTIN KRAKÓW, RYNEK GŁ. 12

poleca w wielkim wyborze na sezon jesienny i zimowy: **Żakiety, Płaszcze, Peleryny i Sukienki dla panienek do lat 16, Ubranka, Paltoty, Kurtki i Zarzutki dla chłopców do lat 12, Kapelusze, Kapturki, Berety, Czapki, Pończochy, Rękawiczki, Kamasze, rozmaite Ubrania włóczkowe, Bielizna, Wyroby futrzane i całe wyprawki dla niemowląt,** po możliwie nizkich cenach. W niedziele i święta zamknięte

---



Bieliznę męzką

Kapelusze • Czapki

Płaszcze gumowe!

Obuwie amerykańskie

Kufry i wszelkie przybory do podróży

poleca 27—39

Magazyn konfekcyi męzkiej i fabryka rękawiczek

Braci Bilewskich

Kraków, Floryańska 33 (róg ul. Św. Marka)



„Omega“ „Schaffhausen“ „Zenith“ „Moeris“ „Roskopf Patent“ wiele innych zegarków w najlepszych gatunkach **złotych, srebrnych, stalow. i niklowych** oraz wielki wybór **zegarów pendułowych** z biciem dzwonowem, stołowych **budzików** francuskich i innych. **Łańcuszki, dewizki** złote, srebrne, niklowe i ameryk. double, oraz **biżuteryę** poleca najtaniej. Wykonuje reperacye z wielką dokładnością po cenach bardzo umiarkowanych.

Jedyny katolicki zakład zegarmistrzowski

JÓZEF NALEPKA, TARNÓW

ul. Krakowska, przy hotelu „Bristol“

Potrzebny jest zaraz młody, zdolny pomocnik zegarmistrz pod korzystnymi warunkami.

Zmiana lokalu

Mój **zakład pilnikarski,** istniejący lat 8 w Krakowie, przy pl. Matejki l. 4, przeniosłem do domu własnego

l. 35 w Grzegórzkach

przy ulicy Woźniakowskiego

gdzie oczekuję łaskawych zleceń Szan. P. T. Publiczności

28—37 Z szacunkiem **Jan Sądel.**

Gumowe specyalności!

35—52 (1907) 1—34 (1908)

Najlepsze francuskie prezerwatywy.

Tuzin najlepszych próbek po K 2·—, 3·—, 4·—, 5·—, 6·—. 4 bardzo interesujące próbki za K 1·— (w markach).

Wszelkie rodzaje artykułów fantazyjnych!

Znakomita nowość: **„ARAMIS“** za tuzin K 4·— i 5·—.

Wszelkie gatunki kobiecych prezerwatywów!

Niskie ceny! Illustrowane cenniki darmo.

S. S. Herzog, Wien 17/3, Hernalserstrasse 79 B.

BILARDY

wszelkich systemów, jakoteż przybory: **Kule, Kije itp.** poleca od 30 lat istniejąca, jedyna we Lwowie fabryka bilardów i warsztat reperacyjny

24—36

Maurycego Andraszka

Lwów, tylko przy ulicy Skarbkowskiej 43.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić Tutki cygaretowe

FRAM

z watą „Salvesol-Noris“.

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku „Wata Salvesol“.

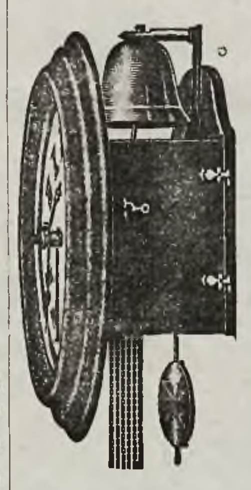
Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio-mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia **nikotyną**, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiecik »Waty Salvesol« wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

1000 sztuk Tutek »Fram« 3 K.
10 Cygaruiczek 1 K. 20 hal.
Pakiecik Waty »Salvesol« 30 lub 60 halerzy.

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych »Noris«

Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków, 2.



BUDZIK Z DZWONEM WIEŻOWYM

najlepszej jakości, do naciągania raz, na 30 godzin z donośnym dzwonem, rama okrągła, gładko polierowana, 30 cmt. średnicy, cyferblat ze szkłem, 8 pozłacane bronzowe wagi, 3-letnia pisemna gwarancya.

tylko Kor. 6·60!

Z świecącym w nocy cyferblatem Kor. 7·20.

Niema ryzyka! Dowolna wymiana lub zwrot pieniędzy.

Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez pierwszą fabrykę zegarów

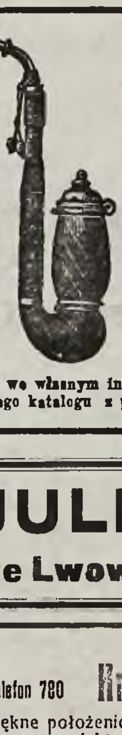
HANNS KONRAD

ces. i król. nadworny dostawca

w Brüx, Nr. 897 (w Czechach).

Bogato ilustrowany polski cennik z przeszło 3000 odbitkami na żądanie darmo i opłatnie.
38—47

Przyjemne i suche palenie, przeto w czystości i smaku nieprześcigniona.



Fajki z drzewa Bruyèra,

przedni fabrykat z prawdziwego niezniszczalnego drzewa Bruyèra.

Gładka główka z wygiętym odlew. z Bruyera cybuch wiśniowy z ustnikiem z rogu i rurką z jedwabiu, około 21 cm. długa K. 1·50. Ta sama fajka, jednak z rzeźbioną naokoło główką z drzewa Bruyera K. 1.60. Największy wybór przyrządów dla palących znaleźć można w mym katalogu, który wysyłam darmo i opłatnie. Do nabycia przez

c. i k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy w Brüx Br. 1496 (Czechy).

Proszę we własnym interesie zażądać mego bogato ilustrowanego polskiego katalogu z przeszło 3000 odbitkami darmo i opłatnie.
31—45

Kobiety!

Zatrzymanie menstruacyi leczy: **P. Zierwas, w Kalk** (koło Köln) Nr. 354
Pani G. w M. pisze: **»Pański środek szybko pomógł«.**
(Marka na odpowiedź pożądana).



• Pracownia i magazyn Obuwia •

damskiego i męskiego tylko własnego wyrobu

Jan Szuller, Lwów, ul. Sykstuska L. 29

poleca obuwie gotowe jak również na zamówienia wykonane starannie i szybko wedle najnowszych fasonów i jestem w możności najwybredniejszym wymaganiom zadość uczynić. Z prowincyi zużyty bucik na miarę.

18—52 1—17 (908)

Kraków

Sławkowska L. 3

Telefon 516



Kraków

Hotel Saski

Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

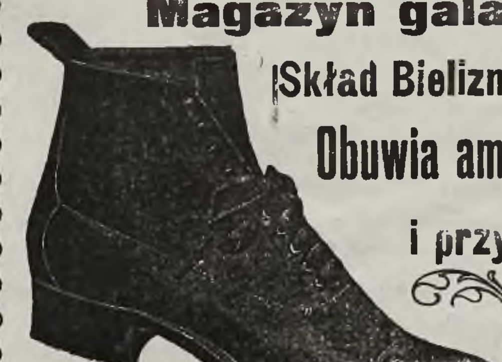


Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Pierwsza galic. Fabryka wyrobów z Marmuru

B. KROLIK, we Lwowie, ul. Janowska 24

(ulica Szwedzka L. 3, dom własny, naprzeciw kościoła św. Anny)

Poleca Płyty z marmuru do mebli i celów budowlanych po cenach bardzo przystępnych.

Nowo otworzony **Magazyn futer JULIANA OLEARCZYKA**

we Lwowie, ul. Kopernika 5 (dawny lokal Józefa Schuste a).

35 37 39 41

Poleca we wszystkich rodzajach **Futra, Garnitury, Czapki, Wierzchy do futer i t. p.**

---

* Hotel Victoria

Telefon 780 **Kraków, ulica Zwierzyniecka 6.** Telefon 780

piękne położenie, obok plantacyj, centrum miasta, 2 minuty od rynku, stacya tramwaju elektrycznego, nowo odrestaurowany i powiększony poleca pokoje umeblowane od K 1·— za dobę wraz z obsługą. Nowo otworzona **Restauracya i Kawiarnia.** — Posłaniec hotelowy do każdego pociągu. — **Łazienki** w

Hotelu Victoria *